ŻYCIE

ROCZNIK II. ZESZYT XII.

DNIA 18. MARCA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA:
WE LWOWIE, ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A.
ADMINISTRACYA:
UL. DĄBROWSKIEGO 2. PARTER NA PRAWO.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURYERA LWOWSKIEGO“) LWÓW CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“. :: WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE) ::



ROCZNIK XIII. LUTY 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, :: :: NAUCE I SZTUCE. :: ::

PRENUMERATA WYNOSI:

w Austryi:

rocznie	K 20·—
półrocznie	„ 10·—
kwartalnie	„ 5·—
Nr. pojedynczo	„ 1·75

zagranicą:

	Mk.	fr.	Dol.
rocznie	20·—	24·—	5·—
półrocznie	10·—	12·—	2·50
kwartalnie	5·—	6·—	1·50
Nr. pojedynczo	2.—	—	—

w Król. i Rosyi

rocznie	rb. 10·—
półrocznie	„ 5·—
kwartalnie	„ 2·50
Nr. pojedyńczo	„ 1·—

CZĘŚĆ PIERWSZA:

CZĘŚC DRUGA:

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:

KRAKÓW, — ULICA STACHOWSKIEGO L. 14.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

L. cz. pr. 39/2/11.

W imieniu Jego Cesarskiej Mości!

I. C. k. Sąd krajowy karny, jako Trybunał prasowy we Lwowie, orzekł na wniosek c. k. Prokuratoryi Państwa, że treść artykułu, zamieszczonego w czasopiśmie „Życie“ Nr. X. z dnia 4. marca 1911. r. pod tytułem „Marya Magdalena“ w ustępach czwartym, piątym, szóstym, siódmym, ósmym, dziewiątym począwszy od słów „Wśród licznych wieści“ do słów „zaklęte w wyraz Marya“ zawiera znamiona występku z § 516. i uznał dokonaną w dniu 4. marca 1911. konfiskatę za usprawiedliwioną i zarządził zniszczenie całego nakładu i wydał w myśl § 493. p. k. zakaz dalszego rozpowszechniania tego pisma drukowego.

II. zarazem wydał nakaz odpowiedzialnemu redaktorowi tego czasopisma, by orzeczenie niniejsze umieścił bezpłatnie w najbliższym numerze i to na pierwszej stronie. Niewykonanie tego nakazu pociąga za sobą następstwa przewidziane w § 21. ust. druk. z 17. grudnia 1862. Dz. p. p. N. 6. ex. 1863. t. j. zasądzenie za przekroczenie na grzywnę do 400 koron.

Ck. Sąd krajowy karny, Lwów, dnia 6. marca 1911.

(Podpis nieczytelny)

DR. HELENA LANDAU.

DZIEŃ KOBIET — 19 MARCA.



Najwłaściwszem polem działania dla kobiety jest dom — mówią głośno konserwatyści, myślą sobie cichutko postępowcy. Równouprawnienie kobiet odgrywało też dotychczas w programach politycznych, radykalnych nawet stronnictw, rolę mniej lub więcej — dekoracyjną. Stało tam, jako cenna myślowa spuścizna po wielkich duchach XVIII. wieku, jako nieobowiązujący do niczego protest przeciw warstwom będącym u steru a równouprawnienia tego przecież nie dającym. Równouprawnienie kobiet uważane było dotychczas za żądanie, któremu kiedyś, gdy wszelkie inne zło będzie już usunięte, samo życie już nada cieleśniejsze kształty, o które wszczynać więc osobną walkę — zawsze zawcześnie.

I rzeczywiście — na walkę o udział kobiet w życiu publicznem — pod hasłem równouprawnienia — jeszcze zawcześnie. W Austryi n. p. mężczyźni za mało jeszcze na ogół — niestety — obywatelskich praw posiadają, by równouprawnienie z nimi mogło być niewieścim ideałem! A przytem — „równouprawnienie“ — możnaby uzależ-

nić od wyniku owych rzeczywiście nieciekawych sporów o niewieście uzdolnienie, niewieścią „twórczość“, niewieście siły fizyczne i umysłowe. Gdy pomyślę tylko ile komunałów i bredni, ile wręcz sobie przeczących twierdzeń naczytałam się już na temat „właściwości kobiecych“, to gotowa jestem w każdej chwili wyrzec się równouprawnienia i wejść w szeregi twierdzących, iż najwłaściwszem polem działania dla kobiet jest dom.

Tylko co do granic temu domu — uwag parę.

Życie ludzi spółczesnych, a zwłaszcza życie warstw niezamożnych, nie mieści się w ciasnych ramach ich, z trudem takim opłacanych, mieszkań. Czem dla bogatego dom, majątek, tem dla uboższego są instytucye publiczne, jest zorganizowana pomoc wzajemna, pomoc społeczeństwa. Dziecko bogatych bawi się w domu rodziców pod okiem matki lub bony — dziecko ubogich bawi się na ulicy, w parku publicznym, w ochronce miejskiej. Jego „pokój dziecinny“ jest poza rodzicielskiem mieszkaniem, więc i opiekuńcza władza jego matki sięgać musi poza dom mieszkalny. Jeśli nie chce wypuścić je tak wcześnie z pod macierzyńskiej opieki, jeśli nie chce oddać je w zupełności w obce ręce, to musi mieć głos w zarządzie gminnym, musi starać się o miejskie trawniki i boiska, o organizowanie publicznych zabaw, gier, ćwiczeń gimnastycznych, o wybór odpowiednich sił kierowniczych.

Dziecko zamożnych rodziców pobiera początkowo naukę w domu, dziecko ludzi biednych w szkole miejskiej. I od planu i zakresu nauki, jakim je gmina darzy, zależy nieraz cały los dziecka.

Nauka początkowa przysposobić je ma do szkoły fachowej i do pracy zawodowej i jest częstokroć jedynem jego uzdolnieniem do nabywania własną już pracą dalszych wiadomości. Umiejętność czytania i pisania rozstrzyga nieraz wyłącznie o tem, czy dziecko, porwane potem w pęta zarobkowej pracy, szczupłe chwile wytchnienia wypełni książką, gazetą, szlachetną rozrywką, czy też próżniaczem piciem i tępą zadumą, czy wstąpi w szeregi walczących o lepszą przyszłość i szczęśliwych głęboką wiarą w jej nadejście, czy też będzie obojętnym i bezmyślnym wrogiem własnej sprawy, własnych braci. Obowiązek więc wobec własnej rodziny nakazuje kobietom baczyć, by szkoła dająca naukę ich dzieciom była nietylko w miarę sił ale bodaj ponad siły gminnego budżetu wyposażona, by ogół zerwał z tem występnem niemal pojęciem, że dla biednego nauka, to niepotrzebny balast życiowy.

Nie — szkoła daje najgodziwszą broń w walce o byt i dlatego wzgląd nietylko na moralne, lecz i na materyalne dobro dzieci zmusza matkę do szukania wpływu na szkołę — na gminę, która tę szkołę utrzymuje.

Korzyść jaką dzieci odnoszą z nauki zależy nietylko od jakości szkoły, lecz i od pojętności dziatwy. Dla dzieci głodnych, zziębniętych, zmęczonych pracą zarobkową w pozaszkolnych godzinach, najlepiej nawet obmyślony plan nauk pozostanie martwym znakiem dobrych lecz niedołężnych chęci. Śniadania i obiady, odzież i nadzór lekarski są koniecznym warunkiem i koniecznem dopełnieniem dobrej szkoły. Wobec ogłoszonych już drukiem ankiet, które wykryły ogromną nędzę dziatwy szkolnej, nie wolno wymawiać się dłużej nieznajomością stosunków. Matka, której najwłaściwszem polem działania jest dom, rodzina, musi przez współudział w zarządzie gminnym baczyć, by dzieci były nakarmione i odziane. Pozostając w czterech ścianach swych pomieszkań, zaniedba swe obowiązki. I jeżeli w debacie budżetowej, skąpiąc na bankiety, na galerye obrazów, na pomniki, zechcą matki-rajcowe przyozdobić miasto — w wesołe twarze sytej dziatwy, w rozgłośny gwar śmiechów i piosnek, dolatujący z miejskich boisk, to któż zaprzeczy, że spełniają tu tylko obowiązki matek-gospodyń, że „pilnują domu“?

Do licznych obowiązków niewieścich należy i pielęgnowanie chorych. Ale w ciasnych naszych domostwach niema dla chorych miejsca, ani też urządzeń odpowiadających wymogom nowoczesnej sztuki lekarskiej, zamożny idzie do sanatoryum, ubogi do szpitala utrzymywanego przez kraj.

Troska o chorych, troska o zapewnienie dostatecznej ilości łóżek dla dużych i małych pacyentów, o znalezienie odpowiednich sił lekarskich i pielęgniarskich, wskazuje kobietom drogę do sejmu krajowego. Przez prawo wyborcze, przez sejm mogą kobiety uzyskać na nowo możność spełniania w całej rozciągłości tych bezsprzecznie kobiecych obowiązków, z których wysuwają ją ciasnota i ubóstwo prywatnych mieszkań.

„Polityka“ pozwoli tu kobiecie starać się o zdrowie rodziny, a zdrowie ubogiego da zaufanie do humanitarnych urządzeń, bo da jej nad nimi — kontrolę. Wraz z posłem ludowym kobietą w sejmie szpital krajowy przestanie być postrachem ubogich, instytucya owiana mgłą przykrych bajek i tajemnic, a będzie naprawdę — lecznicą ludową.

Ale — ponad szpitale, ponad opiekę nad chorymi, ważniejszą jeszcze rzeczą jest dbałość o siły pracujących warstw narodu. „Chronić swoich od złego“, otaczać ich czułą opieką może kobieta z ludu w przeważającej ilości wypadków najskuteczniej, walcząc o ustawodawstwo fabryczne, o inspektorat przemysłowy, o jak najściślejsze stosowanie urządzeń ochronnych w fabrykach, kopalniach, hutach i t. d.

Dla kobiet samych posiada ustawowa ochrona znacznie większe jeszcze niźli dla mężkich robotników znaczenie, uważając bowiem ciągle jeszcze pracę zarobkową za przejściową fazę swego życia, do organizacyi zawodowej, do walki czysto ekonomicznej mało się jeszcze nadają... „Polityka“, prawo wyborcze do Rady państwa da kobietom możność podjęcia najskuteczniejszej dla nich na razie walki o zdrowie, o czas. Zdrowie zaś kobiet, to zdrowie ich dzieci, czas to wcześniejszy powrót z fabryki, warsztatu, do domu, do rodziny. Kobiety zarobkujące, wyrwane twardą koniecznością nędzy z grona swoich, teraz tylko przez politykę mogą do nich wrócić.

W ustawodawstwie ochronnym przedstawia kobieta zupełnie odrębne zagadnienie, bo prócz ogólno ludzkiej godności, prawo uznać w niej musi godność matki i gospodyni, wziąć pod szczególną opiekę jej organizm, jej obowiązki domowe.

I kto tylko jest zdania, iż najwłaściwszem polem działania dla kobiety jest dom, ten musi pragnąć by wywalczyła sobie jak najdłuższy wypoczynek dla położnic i wolne popołudnie w dnie przedświąteczne. Czas ten potrzebny jej dla niemowlęcia, dla domowych zajęć, dla przygotowania święta. Nędza życiowa, szara troska dnia powszedniego, czas jej ten kradnie — polityka zwycięska, walka parlamentarna, wrócić jej może trochę wolności, trochę możności własnego życia.

Z deptaku groszowych trosk i groszowych oszczędności, które zwolna lecz pewnie wysysają energię życiową, duszą zdolność radowania się i czynią z kobiet w końcu automat poruszany najłatwiej zagadnieniem, gdzie najtaniej zakupić, polityka przenieść może kobiety na wyżyny rzeczywistych walk o kształtowaniu się cen. Ogarniając okiem szerokie horyzonty gospodarczych zagadnień klasy, do której stanowiskiem swym społecznym przynależą, mogą kobiety czynnym udziałem w obradach nad polityką handlową, — tę drożyznę, z którą życie całe prowadzą daremną podjazdową walkę, zgnieść w wolnej, parlamentarnej bitwie. Cena towarów zależy nie od widzimisię sklepikarza, ale od stosunków podaży i popytu na wielkich rynkach krajowych i światowych. „Taniości“ nie można więc wydreptać, ale można ją wymusić na gospodarce, zapewniając rynkom obfity dowóz z zagranicy, podnosząc wytwórcze siły kraju. Bo odkąd domowa wytwórczość przestała opędzać potrzeby rodzinne, odkąd się dom tak rozszerzył, że kręgami swymi przerzyna świat cały, czujne oko gospodyń obejmować musi ogromne przestrzenie, przenikać najzawilsze zagadnienia handlowe. Zamykając ducha w obrębie czterech ścian mieszkania, — zaniedbuje swe obowiązki wobec drugich, zaniedbuje swe obowiązki względem siebie.

Przekonanie to poczęło się już szerzyć między kobietami zarobkującemi, między kobietami pracującemi a więc i odczuwającemi całą daremność swych domowych wysiłków wogóle. Z potrzeb dnia, nie z abstrakcyi równych praw, powstała między kobietami dążność do poznania zagadnień społecznych, powstały organizacye kobiece. W organizacyach z wspólnych narad i roztrząsań zrodziło się żądanie czynnego udziału w polityce — w tej grze sił, kształtujących fizyczne i duchowe życie współczesnych.

Obok luźnych, nieraz nader energicznie prowadzonych organizacyi kobiet ze sfer mieszczańskich, powstały wśród proletaryatu organizacye kobiece równorzędne męskim i na równi z męskiemi wplecione w ramy ogólno państwowych ram organizacyjnych. W obrębie partyi socyalistycznych kobietom najłatwiej było dobić się równouprawnienia, bo robotnik zwykł jest pracę kobiecą zarobkową i domową cenić na równi z własną.

Rodzina proletaryacka stoi w równej mierze pracą mężczyzny jak kobiety — na dysputy o równouprawnieniu niema tu wcale miejsca. Z postępem swych organizacyi uzyskały kobiety szybko we wszystkich ciałach partyjnych czynne i bierne prawo wyborcze — a gdy na międzynarodowym Zjeździe robotniczym w Kopenhadze w r. 1910 konferencya kobiet uchwaliła urządzać rok rocznie demonstracye za prawem wyborczem dla kobiet, Zjazd cały przyklasnął tej uchwale i uczynił z niej obowiązek partyjny.

Dzień kobiet — wyznaczony w Austryi — w Niemczech, w Szwajcaryi i Danii na 19. marca — w bieżącym roku — oznaczać ma, iż walka o zdobycie praw politycznych dla kobiet łączyć się odtąd będzie z tą całą siłą i mocą, jaką jej nada w pierwszej linii — siła i moc organizacyi kobiecych.

Dzień kobiet oznaczać ma, iż kobiety nie zadawalniają się dłużej istnieniem żądania praw politycznych dla kobiet w programach demokratycznych, ale że chcą program ten wcielić w życie własną energią i własnym czynem.

Dzień kobiet oznacza, iż proletaryat, który kobietę równouprawnił już w obrębie swych organizacyi politycznych i zawodowych, uznaje potrzebę współpracy kobiet w życiu publicznem, na całym obszarze gospodarki państwowej.

Dzień kobiet oznacza, że walka o demokratyzacyę społeczeństwa, prowadzona ma być odtąd wspólnemi siłami dążących ku niej kobiet i mężczyzn.

W dniu 19-go marca, w myśl uchwały konferencyi organizacyi kobiecych Galicyi i Śląska, w całym kraju, wszędzie gdzie tylko istnieją organizacye kobiece, ujawnić się ma w wielkich publicznych zgromadzeniach ta zapowiedź wzmożonej pracy uświadamiającej wśród kobiet — wzmożonego udziału kobiet w życiu publicznem. Padło hasło — stawić się na nie muszą wszyscy szczerzy zwolennicy demokratycznych reform, do których dla własnego dobra i dla dobra swego domu, swej rodziny, dążyć musi uobywatelona kobieta.

ST. M.

ICH MARZENIE.

„Było ich wszystkich stu sześćdziesięciu i kilku, każdy z nich znał komendę brygady i dywizyi jak generał, a robił bronią jak szermierz. Zręczniejszych tyralierów, celniejszych strzelców prawie żadne wojsko nie miało. Teraz szli się odpłacić moskalowi za długą naukę na Saskim placu!“*)

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Hej! nachylcie no ucho nad polski zagon krwawy, przytknijcie do ziemi, a czujnie słuchajcie, czujnie!

Słyszycie jakie ona, serdeczna, dziwne, niesłyszane dawno odgłosy wydaje!...

W narodzie budzi się chęć czynu! Naród, który w okresie politycznej likwidacyi swej wystawił wspaniałą armię i krwawymi czynami tej armii karmił trzy pokolenia, naród ten nie może

*) Mochnacki-Powstanie.

być na śmierć przez wroga zasmagany, może zwyciężyć lub zginąć, lecz tylko w walce, w walce orężnej.

I oto pradawne idee legionów, które Polskę „wyrąbać“ pragnęły, ukołysane, lecz nie pogrzebione, budzą się znowu, tryumfują w dobie kiedy koncepcye wyszachrowania jej i wymodlenia zbankrutowały.

„Wasze bagnety i moja szpada napiszą uniwersał, jak człowiek ma czcić człowieka“. — To hasło bohatera z pod Zelwy, z taką siłą rzucone w tragedyi Żeromskiego, coraz bardziej wyczuć się daje we współczesnej publicystyce polskiej.

Naród nasz od 63 roku na wszystko co miało jakikolwiek związek z wojskowością i bronią, patrzał jako na coś co strzela i zabija, a więc jest niebezpieczne, więc ze słownictwa swego wyrznął niemal zupełnie takie wyrazy jak „sztuka wojskowa“, jak „strategia“, „taktyka“.

Dziś oto w literaturze zjawiają się dzieła i dziełka, jakby na stwierdzenie, że narodowi, który nie chce być ścierwem i gnojowiskiem dla innych, nie wolno zapominać o prawie świętem miecza.

„Neoromantycy polityczni“ — sarkają nasi „trzeźwi“, a usłużna sfora dziennikarska dodaje — „sztuka wojenna!...“ „broń!..“ to zabawka dobra dla państwa, a my... my możemy być tylko szpiegami wojskowymi!...

Znaleziono mapy!... podręcznik fortyfikacyi!... karabin z bagnetem!...

„A więc tak, szpiegowstwo, szpiedzy wojskowi“ — zadecydowała „fachowa“ opinia i... przejdźmy do porządku dziennego.

Tak, marzycielu! roiłeś o śmierci i sławie żołnierza, jak Montwiłł „nowej Polsce“ orężnie chciałeś służyć, a za to zrobiono cię szpiegiem, szpiegiem na rzecz tego, w którego serce z radością bagnet byś utopił!

Ale nic to, puszczyki!... Oto pokażę wam obrazek, obrazek w słońcu!

W Królestwie, w jednej z nadgranicznych miejscowości gubernii Piotrkowskiej, ostatniemi już czasy, jakby ucieleśnienie tej wojskowej ochoty, która coraz bardziej serca współczesnych Polaków rozpala, maszerował oddziałek, kompania, zawiązek kadry przyszłej armii polskiej. Kompania maszerowała w zwartej pochodowej kolumnie, w karnym ordynku, jakiego by się starzy nie powstydzili żołnierze, wracała z ćwiczeń wojskowych.

Mrok już zapadał na ziemię, w szeregach dziwna cisza, ludzie w skupieniu, karnym, bojowym szli krokiem.

Podchodzimy do „biednej jak polska dola wsi, cichej i głuchej jak serca tego wiejskiego ludu“.

I wówczas pamiętam, z piersi ludzi z kompanii jak piorun wydarła się ta dawna bojowa pieśń, pieśń hasło! — „Hej kto Polak na bagnety!“.

Ludzi ogarnął zapał, pieśń rzucana z siłą ze stu piersi przybierała jakieś gigantyczne rozmiary pobudki i szła, i targała sercem głuchej, spokojnej, polskiej wsi!

I chociaż prawdę mówi Katerla, że — „śpi twardo chłopstwo polskie, dzielnie snu jego bagnet strzeże i zabobon“, jednak spostrzegłem, że po spokojnej wsi przeszedł jakby dreszcz, we drzwiach ubogich chat ukazywać się zaczęły postacie, z początku obojętnie, później z ciekawością przypatrujące się przeciągającym szeregom.

Lecz w miarę jak bojowa nuta pieśni poczęła coraz bardziej we władną swoją moc chwytać nasze pola, na twarzach ludu zawitał już jakby płomień zapału, jakby odblaski pradawnych wspomnień jakby nie skoordynowane jeszcze chcenie walk, boju!

I wówczas uwierzyłem, że bliską już jest ta chwila, kiedy znękany, wyczerpany, po błędnych włóczący się drogach naród stanie nareszcie u jedynego źródła wolności i prawa: chwyci za broń!...

Kto z was był może na ostatnich ćwiczeniach zlotowych sokołów, czy widzieliście zastęp demonstrujący ćwiczenia karabinami?

Komu blask ich bagnetów nie budził w duszy ech bojowej wrzawy... tam z krwawej gardzieli Somo-Sierry; albo z polskich Termopil — Grochowskiej Olszyny, albo przynajmniej, o legaliści!... z pod Custozzy ułanów Rodakowskiego?

Oto burzy nam duszę to samo, co sokołom w pamięć wojennej chwały Polski kazało zaświecić bronią. Tylko że my owe bagnety, w naszych snach, w naszych marzeniach, widzieliśmy uperlone krwią, krwią wroga z pod Racławic i Wawru!

Oto słyszymy, pękają ręczne granaty Montwiłła, a pociąg moskiewski i dobór pułku „Wołyńców“ umyka, umyka w dal!

Bo oto czuwają przednie straże zbrojnej Polski.

To jeszcze świeże odgłosy.

Bojowiec, któremu po śmierci nawet czci odmówiono, postrach „przyzwoitej“ opinii, dowiódł, że broń można bronią, a bagnet bagnetem odeprzeć, tylko trzeba go ująć dzielnie i wprawnie!

Noc... Belweder... Szkoła podchorążych... Sala rycerska... „Giwery w rzędów dwa pod ścianą“.

Tę wizyę groźną Wyspiańskiego sporadycznie ukazują nam w teatrze.

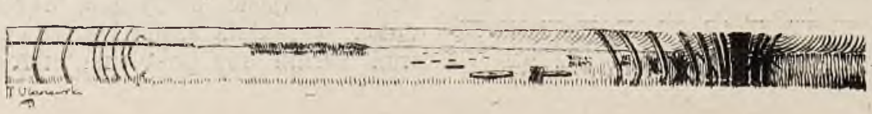
„Przyzwoita“ publiczność bije żwawo w dłonie, zachwyca się przez cały czas trwania scenicznej akcyi, wychodzi z teatru i... obojętnieje, chłodnie.

A Belweder dziś inny satrapa zajmuje, równie krwawy jak tamten wypędzony, a na posadzkach ślady krwi Lubowidzkiego i Gendra dziś inne stopy depcą, również plugawe jak tamtych!

Kiedyż wywiesimy kartę: „Belweder do wynajęcia“!

Wielkorządcy rewolucya odebrała już słuch; a gdyby, gdyby „jak oni“ wydobyć z pochew pałasz i oddać go narodowi krwawy, może „jak wtedy“ „kunktatorstwem“ sprawy nie zaprzepaszczą!

Niech się budzi rycerski, orli duch narodu! niechaj go upajają twarde, dźwięczne słowa wskrzeszonej polskiej komendy, niechaj tęgi, marszowy krok rewolucyjnych kohort, sprowadzi znowu na Polską ziemię — Ją! Niechaj Pallas promienne swoje znamię rozwija i pośród nas staje! Na bój!



RAJMUND SZOLC.

COŚ MÓWI.

Wielka się spowiedź śni gasnącym światom,
iżby zważona była wszelka wina,
a każdy życia zmarnowany atom
wyda przed sądem niby plama sina.

Wrzodem się zdradzi każdy pęd tęsknoty,
co pokradł soki li na baśń jaskrawą,
staną majaków mgławe kołowroty,
przed księgą życia wywieść ród i prawo.

W księdze się prawo twardym znakiem [znaczy
i słów umarłych karty nie przemycą —
wszelaki skarbiec pójdzie w miot żebraczy,
jeśli fałszywą tłoczon był mennicą.

Wszelaka świętość, której łaska zgasła,
wszelaka waga, którą bezwład toczy
i wszelkie staną pręgierzem hasła,
niemocne słońcu spojrzeć prosto w oczy.

Wszelaki srom wyświetlą święte znicze,
a zniczom stanie nowa straż, albowiem
kapłanić zdolne tylko, co dziewicze
i co radosnem zapłodnione zdrowiem.

Długi niezgasłe w czarne się kolumny
spiętrzą u furty nieprzemytnej sądu
i słabym będą jako całun trumny,
a na nikczemne spadną kirem trądu.

Wykaże ręka, ile szczepów w sadzie
pod mocorodne przysporzyła grona
i ucho wyzna, ilu wieściom kładzie
struny, jak harfa w górny ton strojona.

Wyliczy oko, ile gwiazd się plemi,
które mu skryła własnych bielm zawiłość
i trud zda sprawę z każdej piędzi ziemi,
na której rodna nie spoczęła miłość...

ADAM PŁOMIEŃCZYK.

GENEZA STRONNICTW POLITYCZNYCH W POLSCE*)

Rewolucya polska wcielona była w armię. Wszyscy ci, którzy dążyli do wybawienia Polski z niewoli politycznej, szukali środków tego wybawienia pod sztandarem wojskowym i na polach bitew. W czasie kampanii z Rosyą r. 1792, w powstaniu kościuszkowskiem, w legionach i w czasie wojen za księstwa Warszawskiego żołnierz nie oznaczał tylko zawodu, lecz był to obywatel realizujący te dążenia, które duszę całego narodu przenikały. Pod silnemi wpływami rewolucyjnej Francyi, po największej zaś części walcząc pod jej przewodnictwem, była jednocześnie armia polska praktyczną szkołą ducha równości obywatelskiej i rewolucyi w znaczeniu społecznem. Już samo zrównanie kondycyi społecznych w szeregu stanowiło podłoże takiego sposobu myślenia, na tem zaś tle działały idee społeczne Wielkiej rewolucyi i ten duch, który umundurowanych sans-culotte'ów napoleońskich prowadził do walki ze starą Europą. Tak tedy rewolucya polska wyrabia się i wyraża w samym czynie zbrojnym i poza te szranki prawie że nie wykracza.

W pośród nawalnych wypadków, jakie w tym czasie, w przeciągu lat dwudziestu przez Polskę przeszły, nie było niejako czasu na to, żeby ta nowa na polach walk ujrzana ideologia głębiej wniknęła w myśl narodu i żeby świadomość jego zdołała przebudo-

*) Michel Sokolnicki: Les origines de l' émigration polonaise en France. Paris 1910. Félix Alcan éd. (Bibliothèque d' histoire contemporaine).

wać. I kiedy po r. 1815 przeminął okres wojennego rozgwaru, obywatelski i rewolucyjny duch armii zaczął przygasać. Wojsko Królestwa kongresowego zwolna stawać się zaczęło tylko zawodem.

Elementa ideologii polskiej w porozbiorowym okresie rozwijały się jednocześnie w całkiem innej dziedzinie. Zapatrzona w świetną przeszłość narodową, kiedy niepodległe państwo polskie stanowiło stałą namacalną podstawę narodowej świadomości, budowała sobie myśl polska surogat takiej podstawy z dziejów narodowych. Dzieje mówiły Polakowi o tem, co stanowi istotę jego narodowości, dzieje zastępowały mu bieżące współczesne sprawy nieistniejącego państwa, do dziejów, jako do sanktuaryum, ducha narodowego przechowującego, wchodziły i przystosowywały się wraz ze swemi narodzinami wszelkie dorobki bieżącej narodowej pracy. Historya i tradycya stała się miarą, za której pomocą oceniano ludzi i sprawy: nazwisko nawet związane z jakiemś wielkiem dziejowem wspomnieniem, przez to samo stawało się autorytetem.

Jednocześnie z wysiłkami legionistów i z polityką Dąbrowskich i Wybickich prowadzona była w Polsce polityka legitymistyczna wobec Rosyi, pod widomem kierownictwem ks. Adama Czartoryskiego, ministra spraw zagranicznych liberalizującego cara Aleksandra. Po kongresie wiedeńskim polityka ta siłą faktu stała się dominującą i zyskała oficyalną sankcyę opinii. Nawiązano zdobyty fragment państwowego życia do tradycyi państwa polskiego, w „królu“ Aleksandrze widziano spadkobiercę Jagiellonów i Sobieskich — a nawet organiczne połączenie z państwem rosyjskiem potrafiono historycznie uzasadnić szczepowem „pobratymstwem“ obu słowiańskich narodów. I pomimo niedawnych zapałów rewolucyjnych, pomimo zawartego na polach bitew nie rasowego lecz ideowego pobratymstwa z rewolucyjną Europą i rewolucyjną Francyą — struktura ideowa społeczeństwa polskiego przystosowała się do nowych warunków. Najistotniejszą jej cechą była jednolitość. Każdy niejako członek społeczeństwa uważał się za członka jednej i niepodzielnej całości. Brak jakiegokolwiek zróżnicowania politycznego społeczeństwa wybija się jako istotna cecha ideologii czasów Królestwa Kongresowego. Na straży tej jednolitej całości stoi hierarchia powag: powag tradycyi historycznej i powag historycznych nazwisk.

Nie znaczy to bynajmniej, żeby zerwaną została ciągłość aspiracyi rewolucyjnych z epoki minionej. Tradycye rewolucyjne nierozdzielnie złączone z wyobrażeniem Francyi jako przewodniczki ogólnoeuropejskiego ruchu wolnościowego znalazły swój wyraz w tajnych stowarzyszeniach, napoleońskie tradycye armii walczącej o wyzwolenie narodów żyły jeszcze w wojsku Królestwa. Rewolucyoniści ci jednak nie posiadali zupełnie poczucia swej odrębności. Byli oni przekonani, że naród cały w gruncie rzeczy myśli tak jak oni, że wszyscy członkowie jeśli nie rządu, to sejmu, że wszyscy jenerałowie, wszyscy Czartoryscy, Chłopiccy i Niemcewicze są ich cichymi sprzymierzeńcami. Dla tego nie mieli spiskowcy żadnych ambicyi zawładnięcia opinią i rządem narodu. To też gdy konspiracya doprowadziła wreszcie do wybuchu listopadowej rewolucyi, nie czuła wcale potrzeby utworzenia rządu rewolucyjnego, uważała, że do tego jedynie naród, ta jednolita całość jest powołany; oni chcieli być tylko tymi, którzy hasło walki pierwsi rzucają, a potem wstępują w szeregi powstałego jako jednolita masa narodu, rządzonego przez tych, do których rządy mocą ich hierarchicznego stanowiska w ogólnej opinii narodu należą.

Była to prawdziwie tragiczna pomyłka; na czele powstania staje rząd powstaniu przeciwny, na czele tego rządu Czartoryski, człowiek dla którego powstanie przeciw Rosyi było zburzeniem raz na zawsze pracy całego jego życia. Polityka i cała akcya powstania rozbija się w sprzecznościach i fikcyach: rząd nie wierzy w sam fakt powstania, ogranicza je ciągle fikcyami legalności i nie marząc o niczem więcej, jak o ścisłem przestrzeganiu konstytucyi 1815 r., sam stara się w granicach prawnych i terytoryalnych przez kongres naznaczonych pozostać. Stąd płyną wszystkie zaniedbania wojenne, które ograniczyły możliwą liczbę wojska do połowy i które zamknęły powstanie na terenie strategicznym samego Królestwa; stąd dwuznaczność akcyi dyplomatycznych, które w gruncie rzeczy były tylko demonstracyą wobec Rosyi w celu zmuszenia jej do układów. Inaczej myślał naród i armia: naród wiedział, że powstał, i że walcząc o swoją niepodległość walczy jednocześnie przeciw tej restauracyi, której kodyfikatorem był kongres wiedeński, więc walczy tak, jak niedawno walczyły narody francuski i belgijski; w armii obudziła się drzemiąca legenda napoleońska, armia czuła się przedmurzem ogólnoeuropejskiej sprawy narodów przeciw tyranowi północy. Walcząc o swoją niepodległość naród i wojsko czuło się awangardą tej sprawy wolności, którą jeszcze z końcem minionego wieku Francya poczęła i której była kierowniczką. W armii i w narodzie sprawa wolności jednoczyła się z legendą rewolucyjnej Francyi.

To też po przegranej rozpoczyna się żywiołowo emigracya pod skrzydła tej Francyi. Powstańcy nie uważają sprawy za skończoną: przeciw przemocy tyranii stanie rewolucyjna moc wolnych narodów i ta dopiero jest ostatnią apelacyą. Emigracya do Francyi, to nie ucieczka po przegranej, to demonstracyjny wobec Europy czyn rewolucyjny, który ma zacząć nowy okres walki: legion polski pod patronatem Francyi, to była myśl powszechna emigrującej armii.

Lecz tu sprawa zaczyna się komplikować. Francya ówczesna nie odpowiadała temu obrazowi, który wymarzyli sobie powstańcy. Rząd Ludwika Filipa, rząd Périer'a i Talleyrand'a ustalał właśnie swą opinię wobec starej Europy. Najwyższa burżuazya, która w monarchii lipcowej do steru przyszła, nie myślała wcale o roli jakiejkolwiek wobec problemów społecznych za granicą, a już najmniej o roli przewodniczki rewolucyi. Emigracya polska odrazu wpada w dwuznaczność w stosunku swym do Francyi. Rozbitki rządu powstańczego, „dyplomaci“ i grupujący się koło nich „arystokraci“, odnoszą się do Francyi jako do gwarantki kongresu wiedeńskiego, nie chcą mieszać się do spraw wewnętrznych Francyi, więc w rezultacie są lojalnymi wobec rządu. Rewolucyoniści, „klubiści“, widzą we Francyi spadkobierczynię W. Rewolucyi, więc łączą się z opozycyą francuską, wytwarzając zasady polityki ludowej na braterstwie ludów opartej. Ogół żołnierzy stałby się lojalnym dopiero wtedy, gdyby rząd spełnił ich nadzieje, utworzył legion. Tymczasem sprawa legionu, niedołężnie prowadzona przez mających stosunki z rządem „dyplomatów“ od początku nie posiadała widoków realizacyi i w końcu została zaprzepaszczona. Rząd francuski wzdragał się przez utworzenie legionu naruszyć obowiązującą go zasadę „nieinterwencyi“, uśmiechała mu się tylko myśl wysłania emigrantów do Algieru, do legionu cudzoziemskiego.

Tak więc jednolita struktura społeczeństwa polskiego na emigracyi została rozbita. Przestała istnieć hierarchia powag, bo na emigracyi wszyscy siłą faktu stali się równi, powagi zresztą były doszczętnie skompromitowane przez zaprzepaszczenie sprawy powstania. Pozostaje tryumfująca opozycya, która w czasie powstania napróżno krytykowała kierownictwo; powaga i popularność tej radykalnej opozycyi demokratycznej smutne ma narodziny: w obliczu grobów i klęski. Stosunek do zróżnicowanej

opinii francuskiej, i do ogółu spraw wewnętrznych narodów zachodu narzuca się siłą faktu poszczególnym ludziom i grupom i różniczkuje ich opinie. Sprawa polska zostaje skonfrontowana z ideami społecznemi zachodu, poddana zostaje dyskusyi: to już nie prosta sprawa wyzwolenia narodowego, to już sprawa zasad tego wyzwolenia, podstaw społecznych, na których przyszłe państwo ma być zbudowane, środków jakiemi niepodległość jego zrealizowana być może.

Ideologia polska różniczkuje się, w ślad za tem zaś idzie zróżnicowanie organizacyjne. Rewolucya listopadowa nie wyłoniła ze siebie żadnej organizacyi, którąby ją i jej spadkobierców reprezentować mogła. Rząd powstania był zmodyfikowanym rządem Królestwa kongresowego, sejm wybrany za rządów mikołajowskich nie miał określonej fizyognomii i nigdy powstania nie reprezentował, jedna armia tylko stała się organizacyą na wskróś rewolucyjną, rzec można rewolucyę w siebie wcieliła. Lecz plany przedłużenia bytu armii na obczyźnie w nowej postaci legionu rozwiały się: armia rozkładać się zaczyna i ze szczątków tej, w założeniu swojem jednolitej organizacyi, tworzyć się zaczynają partye polityczne, na różnicującej się ideologii oparte. Tworzy się przedewszystkiem demokracya polska.

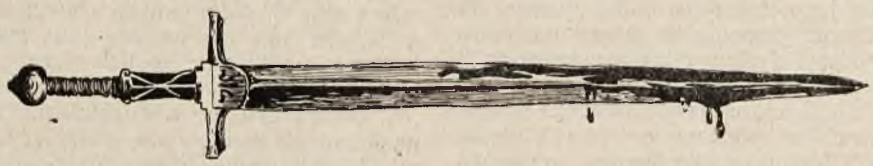
Już sam sposób organizowania się siłą rzeczy staje się demokratyczny, tworzą się komitety drogą wyboru, w którym wszyscy bez różnicy emigranci równe mają prawo udziału. Zawodzą próby stworzenia jednej dla wszystkich reprezentacyi. Napróżno pierwszy komitet Niemojewskiego do spraw czystej samopomocy usiłuje się ograniczyć; zbyt legitymistyczny jego charakter nie podoba się rewolucyjnej i demokratycznej większości. Powstaje komitet Lelewela, którego opozycyjny charakter zadawalnia znów „Dyplomatów". Miejsce tych komitetów ogólnych zajmować zaczynają organizacye częściowe, na programach oparte. Powstaje Polskie Towarzystwo Demokratyczne, pierwsza w całem tego słowa znaczeniu polityczna partya polska i w manifeście swym ogłasza swój program, wyzwoleniem ekonomicznem i społecznem ludu odbudowanie Polski warunkujący, powstaje „Lud polski" pierwsza świadoma organizacya pracującego ludu, głosząca konieczność zmiany ustroju społecznego na własności indywidualnej opartego na ustrój, w którymby „praca stała się odpowiednim prawu własności obowiązkiem", około Czartoryskiego i jego organu „Pamiętnika emigracyi" skupia się konserwatywna część emigracyi, powstaje „Młoda Polska", obok „Młodych Niemiec" i „Młodych Włoch", powstaje „Zjednoczenie" i t. d.

Wśród najnienormalniejszych warunków rozkwita życie ideowe polskie: do dziś dnia wyczuwamy w tym gwarze emigracyjnym momenta aktualne i roznamiętniające. Im bardziej oderwani byli od realnego życia kraju, tem szersze kręgi zataczać mogły plany ich ideologicznych konstrukcyi, im plastyczniej snuły im się te plany, tem silniej pożądali gruntu dla ich realizacyi; rok 46, 48, 63, to daty, gdy pożądanie to czynem się stawało.

Dziś demokracya polska z emigracyi dawno do kraju już wróciła i długie już opowiadać może dzieje swego wrastania w grunt realnych stosunków, i powrotnego z nich wzrastania z nowem doświadczeń bogactwem. Lecz dziwnem kołem toczyć się zdają jej dzieje: z rozkładu armii polskiej zrodzona, chcąc w pełni realizować swe idee, staje wobec zadania wyłonienia ze siebie armii.

* * *

Takie się myśli snują, gdy się czyta książkę M. Sokolnickiego o początkach emigracyi polskiej i takie wynosi się z niej wiadomości. Bo w sposób nie codzienny pisane jest to dzieło: nie zbiór przyczynków czy suchych informacyi w niem znajdujemy, lecz żywą, organiczną całość. Wstaje przed nami w konkretnej postaci ta epoka, która nowoczesną kulturę polską utworzyła, i przekazuje nam swe zagadnienia, do dziś aktualne.



LEON WASILEWSKI.

Z ŻYCIA POLSKIEGO NA LITWIE.

II.

DZIAŁALNOŚĆ NAUKOWA.

Zamknięcie uniwersytetu wileńskiego, następnie zaś i akademii medyko-chirurgicznej po powstaniu 1831 r. zadało cios dotkliwy normalnemu rozwojowi pracy naukowej na Litwie. Nie zabiło jednakże nauki polskiej. Jakkolwiek bowiem większość profesorów zmuszona była opuścić Wilno, to jednak pewna ich część pozostała na miejscu i wraz z młodszem pokoleniem w dalszym ciągu snuła nić tradycyi uniwersytetu wileńskiego. A. Kirkor. Eust. hr. Tyszkiewicz, T. Narbutt, M. Baliński, L. Jucewicz, M. Malinowski, J. I. Kraszewski i inni prowadzą badania archeologiczne, historyczne, statystyczne, gromadzą księgozbiory i przechowują zabytki przeszłości, wydają źródła i opracowania monograficzne. Wszystko to świadczy o żywej pracy uczonych polskich na Litwie. Wilno w 6-tem dziesięcioleciu jest jednym z jaśniejszych ognisk nauki naszej.

System Murawiewa, dążący do zupełnego wyplenienia wszelkich śladów polskości na Litwie, uniemożliwił całkowicie dalszy rozwój nauki polskiej w tym kraju, skazując go na martwotę kilkudziesięcioletnią. Polskich badaczów nauki zastąpiły figury urzędowe, mające w sposób „naukowy" udowodnić, że Litwa była zawsze krajem „rosyjskim", polskie publikacye naukowe na Litwie znikły, zaczęły się natomiast pojawiać tendencyjnie dobrane i fałszowane zbiory dokumentów i opracowań rozmaitych Kojałowiczów i t. d.

Nie znaczyło to bynajmniej, aby na Litwie zabrakło polskich pracowników nauki. Dość przejrzeć wydawnictwa akademii umiejętności w Krakowie „Pamiętnik Fizyograficzny", „Wisłę" i t. d. aby spostrzedz, że przyczynki do archeologii, etnografii, dziejów i fizyografii Litwy mnożą się z roku na rok, ogarniając nieznane dawniej dziedziny badań białoruszczyzny i litewszczyzny etnograficznej. Prace Dowgirda, Kiborta, Bielińskiego, Fedorowskiego,

Brensztejna, Jankowskiego, Jelskiego, Szukiewicza, Uziębły, Zahorskiego i wielu innych rzetelnie wzbogacały wiedzę polską i zarazem wyświetlały wszechstronnie przeszłość i teraźniejszość różnoplemiennej ludności Litwy. Niestety, nie mogło być mowy o stworzeniu ogniska, któreby jawnie skupiało rozstrzelone usiłowania pojedynczych pracowników nauki polskiej w tym kraju. Niepodobna też było na miejscu wydawać polskich rzeczy naukowych.

Dopiero klęski armii carskiej na dalekim Wschodzie i wybuch rewolucyi w Rosyi poczyniły pewne wyłomy w systemie murawiewowskim na Litwie. Odradza się prasa polska, znów powstaje teatr, budzi się wreszcie myśl podjęcia przerwanej od tylu lat jawnej pracy naukowej. P. Ludwik Abramowicz rzuca pierwszy projekt zawiązania w Wilnie „Towarzystwa Przyjaciół Nauk". W kilka miesięcy później z inicyatywy p. Alfonsa Parczewskiego grono osób w Wilnie przystępuje do zalegalizowania takiej instytucyi i w styczniu 1907 r. projekt zostaje zrealizowany.

Według ustawy „Towarzystwo Przyjaciół Nauk" w Wilnie ma na celu pielęgnowanie nauk, umiejętności i literatury w języku polskim, w szczególności zaś badanie kraju pod względem przyrodniczym, etnograficznym, historycznym, ekonomicznym i statystycznym. Posiada ono prawo wydawania prac naukowych, gromadzenia oraz wydawania źródeł i materyałów do dziejów piśmiennictwa i starożytności, zgłaszania konkursów i przyznawania nagród za celniejsze prace naukowe, organizowania odczytów i wykładów publicznych oraz wycieczek naukowych.

Założyciele „Towarzystwa" żywo się zakrzątnęli dokoła oparcia młodej instytucyi na trwałych podstawach i już na 1-go stycznia r. 1908-go może się ono wykazać pewnym plonem.

Hr. Józef Przeździecki ofiarowuje „Towarzystwu" gmach, oszacowany na sumę przeszło 20.000 rubli, znany działacz społeczny p. J. Montwiłł zasila je 5000 rubli, ze wszystkich stron poczynają napływać ofiary do księgozbioru i kolekcyi muzealnych „Towarzystwa". Liczba jego członków już w pierwszym roku sięga 160. Zapoczątkowuje się praca naukowa w postaci odczytów i dyskusyi na posiedzeniach „Towarzystwa", poszukiwań archeologicznych na wzgórzu Bakwata i działalność wydawnicza. Biblioteka „Towarzystwa" w pierwszym roku istnienia składa się już z 6507 tomów, archiwum wzbogaca się zbiorami cennych dokumentów, muzeum otrzymuje mnóstwo ciekawych i wartościowych rzeczy we wszystkich swych działach (archeologii przedhistorycznej i etnografii, historyczno-obyczajowego i archeologii kościelnej, artystycznego, numizmatyki i przyrodniczego).

W latach następnych Towarzystwo i jego działalność rozwija się normalnie i stale. W r. 1908. liczba członków wzrasta do 256, w łonie „Towarzystwa tworzą się sekcye ekonomiczne i archeologiczne, do biblioteki przybywa 5.534 tomów, rośnie pokaźnie archiwum, a muzeum wzbogaca się 10.394 przedmiotami. Tworzy się w niem specyalny dział mickiewiczowski 331 numerów, w tem przeszło 100 podobizn wieszcza. Imponująco przedstawia się zwłaszcza dział archeologii przedhistorycznej.

W r. 1909-tym wzrost Towarzystwa czyni palącą potrzebę pozyskania nowego lokalu, gdyż dotychczasowy staje się zupełnie niedostatecznym. Hojna ofiara p. Łęskiego (20.000 r.) pozwala na przystąpienie do budowy własnego gmachu. Liczba członków wzrosła do 316. Do biblioteki przybyło 21.050 tomów skutkiem ofiarowania kilku cennych księgozbiorów, liczących po parę tysięcy tomów. Na rzecz archiwum wpłynęło sporo cennych zbiorów, dokumentów, listów i t. p. Muzeum otrzymało 6745 przedmiotów.

Ponieważ uwaga kierowników instytucyi była skierowana głównie na utrwalenie bytu Towarzystwa i wzbogacenie go w materyał, umożliwiający dalszy jego rozwój i pracę naukową skupiających się dokoła niego ludzi, przeto działalność wydawnicza „Towarzystwa" przedstawia się, jak dotąd, dość skromnie. Monografia K. Szafaryla z zakresu bryologii (o grzybach na Litwie) i 3 „Roczniki" oto cały plon Towarzystwa w tej dziedzinie, przyczem „Roczniki" wychodzą ze znacznem opóźnieniem, tak że dopiero kilka miesięcy temu wyszedł „Rocznik" trzeci, zawierający sprawozdanie z życia „Towarzystwa" w r. 1909-ym.

„Roczniki" te zawierają bardzo ciekawe i cenne przyczynki i materyały naukowe poza działem czysto sprawozdawczym. Należy tu wymienić: „wiadomość o tajnych towarzystwach uczniów uniwersytetu wileńskiego" M. Czarnockiego, charakterystykę ludoznawczą powiatu bielskiego L. Czarkowskiego, organizacyę wojskową Litwy w okresie Jagiellońskim T. Korzona, przyczynki do etnografii Litwy M. Brensztejna i t. p.

Najlepiej przedstawia się pod tym względem „Rocznik" ostatni — trzeci za rok 1909-ty. Znajdujemy tu przedewszystkiem pracę L. Janowskiego o pismach historycznych Jundziłła, stanowiącą wartościowy przyczynek do poznania charakteru i działalności tego wybitnego przedstawiciela nauki polskiej na Litwie. J. Jakubowski streszcza wiadomość o t. zw. kronikach litewskich (pisanych w języku ruskim). J. Baranowski daje sylwetkę epigona feudalizmu na Białej Rusi — Michała Antoniego Sapiehy. W. Szukiewicz zastanawia się nad domniemanymi kurhanami litewskimi. M. Gozdawa kreśli rys dziejów Augustyanów w Brześciu. J. Jodkowski podaje opis i podobizny pieczęci wileńskich w muzeum rumiancowskiem w Moskwie. W. Zyndram-Kościałkowska przytacza pięć listów Norwida ze zbiorów „Towarzystwa", a J. Kliński nieznany list F. Karpińskiego.

Każdy „Rocznik" zawiera stałą rubrykę sumiennie prowadzoną przez L. Czarkowskiego, a zawierającą spis druków polskich, wychodzących co roku w Wilnie. Spis ten wskazuje na stale rosnącą od r. 1905-go produkcyę wydawniczą polską w stolicy Litwy.

Wśród druków wileńskich nie brak i poważnych wydawnictw naukowych, ukazujących się niezależnie od „Towarzystwa Przyjaciół Nauk". Tu wymienić można W. Szukiewicza „Szkice z archeologii przedhistorycznej Litwy"; W, Zahorskiego „Trock i zamek trocki", „Katedra Wileńska", „Szymon Konarski"; J. Kurczewskiego „Kościół Zamkowy"; B. Herca „Mapa Litwy i Białej Rusi"; H. Mościckiego „Dzieje porozbiorowe Litwy i Rusi" (wydawnictwa zeszytowe, zakrojone na szeroką skalę) i t. d.

Rok ubiegły przyniósł nauce polskiej na Litwie nowe ognisko pracy i badań w postaci: „Kwartalnika Litewskiego", wymienionego już w poprzednim artykule. Pismo to wydawane (na razie w Petersburgu) przez p. Jana Obsta wychodzi w zeszytach, z których każdy, przyozdobiony licznymi rysunkami, przenosi objętością poszczególne tomy „Rocznika" Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

„Kwartalnik" p. Obsta chce służyć kulturze polskiej na Litwie. Ponieważ jest przedewszystkiem wydawnictwem historycznem, więc rzeczy polskie z konieczności muszą w nim zająć pierwsze miejsce, gdyż wszelkie objawy kulturalne na Litwie w wiekach minionych posiadały głównie charakter polski. Natomiast dział etnograficzny uwzględnia i inne żywioły miejscowe przedewszystkiem białoruski. Cztery dotychczas wydane zeszyty „Kwartalnika" zawierają wielką ilość materyałów i opracowań, pomiędzy nimi zaś nie brak i bardzo wartościowych, jakkolwiek całość przedstawia się nieco chaotycznie. Wy-

dawca młody i bardzo ruchliwy pracownik na niwie naukowej, obiecuje w najbliższej przyszłości przekształcić swe pismo na miesięcznik oraz zainicyować szereg poważniejszych wydawnictw naukowych, poświęconych bądź historyi, bądź etnografii Litwy.

Tak przedstawiają się objawy, wznowionej po kilkudziesięciu latach przerwy, działalności naukowej Polaków na Litwie. Skromne są one jeszcze na razie, ale widać ich wzrost i mężnienie z roku na rok. Usiłowanie jednostek i grup, dążących do zapewnienia nauce polskiej na Litwie trwałego rozwoju, połączone są z niesłychanemi trudnościami. Brak na miejscu wyższego zakładu naukowego, oczyszczenie zupełne z żywiołu polskiego personalu nauczycielskiego w szkołach średnich, ustawiczna groźba represyi rządowych nie oszczędzających żadnych polskich instytucyi jedynie ze względu na ich charakter narodowościowy — wszystko to utrudnia prawidłowe postępy polskiej działalności naukowej. Jednakże żywioł polski na Litwie składa tyle objawów żywotności, że można spodziewać się że i w dziedzinie pracy naukowej potrafi zdobyć należne sobie miejsce.



S. AUERBACH.

LISTY Z PARYŻA.

I.

Słówko wstępne. — Upadek ministeryum Brianda. — Przyczyny tego upadku. — Nowy gabinet Monis-Berteaux-Delcassé. — Konjunktury polityczne.

Rozpoczynając z dniem dzisiejszym szereg Listów z Paryża, pragnąłbym na początku kilka słów powiedzieć o nim samym i o Francyi wogóle, o znaczeniu i roli, jaką odgrywa trzecia Republika francuska w życiu politycznem i intelektualnem świata. Ekspansya ducha francuskiego, czy to w dziedzinie sztuki i polityki, czy laicyzacyi i demokratyzmu, czy wreszcie literatury i nauki ścisłej, ekspansya ta przenika do wszystkich zakątków globu ziemskiego — i pod tym względem nie posiada ona rywali, ani też niema dla niej granic. Niedawno symbolem dzisiejszej Francyi jest postać niewieścia, wyobrażająca posąg Wolności i dzierżąca w dłoni gałązkę pokoju oraz ziarna życiotwórcze, które wiatr po całym świecie rozsiewa — a z ziaren tych rodzi się drzewo Wolności, Równości i Braterstwa. Wyrazy te widnieją nawet na gmachu więzienia paryskiego.

Należałoby tedy coś nie coś w formie syntetycznej, acz lapidarnej, o Francyi dzisiejszej powiedzieć.

Niestety jednak, nagłe perypetye polityczne, absorbujące obecnie opinię świata i posiadające niezmierną, poprostu niedocenioną donioslość w ukształtowaniu się stosunków międzynarodowych, domagają się przedewszystkiem rzeczowego omówienia, i tem samem nie pozwalają rozpraszać napięcia na rzeczy i sprawy „nieaktualne“.

Przystępuję tedy odrazu do omówienia obecnego przesilenia ministeryalnego we Francyi, obiecując sobie kwestye mniej aktualne poruszyć kiedykolwiek specyalnie, w warunkach ku temu odpowiedniejszych.

* * *

Gabinet Brianda upadł! Większość republikańska w parlamencie odmówiła mu zaufania! — wieść ta z błyskawiczną szybkością rozniosła się w piątek, dnia 24. lutego, po Paryżu i była tem bardziej sensacyjną, że wcale niespodziewaną. W poniedziałek, dnia 27. lutego, Briand poniósł oficyalnie swą dymisyę prezydentowi Fallieresowi. Ten ją natychmiast zaakceptował. We wtorek, 28. lutego, Fallières powierzył tekę prezesa rady combiście Monisowi. W chwili zaś gdy słowa te piszemy (czwartek wieczór, 2 marca), nowy gabinet francuski został ostatecznie utworzony. Roznamiętnienie społeczeństwa niebywałe.

Ażeby zbadać genezę upadku gabinetu Brianda, musimy się cofnąć wstecz, do początków jego karyery politycznej. Urodzony w r. 1862 w Nantes, z ojca handlowca, dzierżawcy hotelu, człowieka raczej ubogiego, niż średnio zamożnego, Briand nie mógł otrzymać należytego wykształcenia i wychowania. Niemniej, udało mu się ukończyć prawo i zainstalować się w niewielkiem mieście Saint-Nazaire. Tutaj radykalni biografowie Brianda niedwuznacznie dają do poznania, że historya jego zaczyna być ciemną, podejrzaną. Odbył się przeciwko niemu proces, w którym poważną rolę grała pewna kobieta i procesów, po przejściu przez kilka instancyi skończył się ostatecznie uniewinnieniem delikwenta. Wkrótce spotykamy przyszłego prezesa ministrów na bruku paryskim. Tutaj prowadzi żywot nędzny, cierpiąc ostatnią biedę. Briand staje się namiętnym rewolucyonistą. Przemawia na wszystkich zebraniach socyalistycznych. Porywa słuchaczy swoją wymową i zapałem rewolucyjnym. Wielokrotnie broni socyalistów i rewolucyonistów przed sądem. W Lyonie broni Gustawa Hervé, dzisiejszego redaktora antymilitarystycznej La Guerre Sociale, i szczęśliwie udaje mu się wyrwać go ze szponów prokuratora i paszczy więziennej. W tym czasie współpracuje w pismach ludowych, rewolucyjnych, występuje namiętnie za sprawą strajku generalnego, powszechnego. Po pewnym czasie wydaje broszurę La grève générale (leży ona w tej chwili przedemną), w której, bodaj czy nie pierwszy, uzasadnia możliwość i konieczność zorganizowania strajku powszechnego. Broszura ta spotyka się niemal z entuzyazmem towarzyszy i Briand zostaje powołanym na głównego sekretarza centralnego komitetu (Comité génèrale) francuskiej partyi socyalistycznej, której istotnie oddaje wyjątkowe usługi. Pewien biograf

socyalistyczny zaznacza nawet, że gdyby Briand pozostał wiernym pierwotnym swoim poglądom, „imię jego byłoby wielkie w historyi emancypacyi ludzkości“*).

Tutaj wszakże zaczynają się budzić a raczej uzewnętrzniać parweniuszowskie instynkty chciwego władzy Brianda. Brutalnie występują one w walce o pierwszeństwo w partyi z znakomitym Juliuszem Guesde. I dzięki porywającej wymowie — Francuzi są namiętnymi miłośnikami elokwencyi — oraz zręcznym manewrom taktycznym zyskuje sobie nietylko zaufanie, nietylko szacunek, ale podziw — i nawet wśród doświadczonych menerów partyi. Czynem, który Brianda podniósł wysoko w oczach jego towarzyszy, była pewna mowa antymilitarystyczna, wygłoszona na olbrzymim mityngu robotniczym. Pouczał on wtedy robotników o roli militaryzmu w życiu pewnego narodu, zwłaszcza, gdy wojsko popchniętem zostaje do boju przeciwko „wewnętrznemu wrogowi — ludowi robotniczemu“. „Wówczas — pouczał Briand — strzały, być może, powinny paść, ale nie we wskazaną przez oficerów stronę“.

W r, 1902, w tym samym roku, kiedy Briand zostaje naczelnym redaktorem dziennika L a n t e r n e, w którym bardzo zręcznie przygotowuje sobie kandydaturę poselską, zostaje obranym na posła do parlamentu z miasta Saint-Etienne. Na trybunie parlamentarnej oblicze jego staje się wyrazistszem, przemówienia zaczynają na początku zdumiewać jego towarzyszy, a następnie przerażać. Zyskuje sobie zaufanie radykałów i zostaje mu powierzona wielce odpowiedzialna i zaszczytna misya sprawozdawcy w sprawie rozdziału państwa od kościoła. Z misyi tej Briand wywiązuje się z brawurą. Wkrótce prezes gabinetu Sarrien powierza mu tekę ministra nauczania publicznego. W ministeryum Clemenceau piastuje godność ministra sprawiedliwości. Już tutaj deklaruje się jako zawzięty wróg „anarchii“, a gdy udaje mn się zręcznie podkopać egzystencyę Clemenceau i samemu stanąć na czele nowego gabinetu, Briand, wziąwszy sobie do pomocy krwiożerczego prefekta policyi Lépine'a i dwóch odstępców socyalistycznych Milleranda i Vivianiego, staje się istotnym dyktatorem Francyi i rzuca podczas dyskusyi nad strajkiem kolejowym w twarz zdrętwiałym republikanom:

— J e ś l i z o b a c z ę, ż e k r a j o w i g r o z i n i e b e z p i e c z e ń s t w o, t o w c e l u j e g o o d w r ó c e n i a n i e z a w a h a m s i ę u c i e c i d o ś r o d k ó w n i e l e g a l n y c h !...

Uczciwi republikanie mieli dosyć. Dni Brianda zostały policzone. Początek epilogu zaczął się zaraz tego samego dnia a koniec przygotowywali deputowani radykalno-socyalistyczni, Meunier i Malvy.

Z depesz już wiadomo, że deputowani ci zgromadzili wielce obciążające Brianda dowody, że pozwolił ponownie rozrosnąć się zamkniętym podczas separacyi szkołom kongregacyjnym. Przytoczone dane statystyczne i fakty urzędowe świadczą, że zniesione ongi szkoły religijne istnieją dzisiaj w tych samych lokalach, przy tym samym personalu naukowym, jeno pod inną nazwą. Deputowany Malvy zarzucił prezesowi ministrów, że za jego rządów rozwielmożniły się, jak nigdy za rządów republikańskich, stowarzyszenia klerykalne, rojalistyczne, konserwatywne, że za jego wiedzą istnieje przeszło 2000 stowarzyszeń kongregacyjnych, że sam pozwolił pewnemu towarzystwu „ojców rodzin“ założyć instytucyę religijną o wyrażnym antyrepublikańskim charakterze wychowawczym, że z niewytłumaczalną i nieprzebaczalną tolerancyą traktował najwstrętniejsze nawet ekscesy stowarzyszenia c a m e l o t s du r o i s i t. p. Malvy zakończył swoje przemówienie bezpośrednim atakiem na Brianda.

*) Flax. Les Hommes du jour: Aristide Briand.

— „Nic dziwnego, że pańska polityka wolnomyślna („politique laique“) nie drażni wcale przeciwników prawa z r. 1901 i 1904*). Daleko surowiej sądzili oni politykę Waldecka-Rousseau i Combesa. A to dlatego, że była ona więcej dokładną, więcej uczciwą, więcej prawną. Demokracya nasza żąda polityki laicyzacyi i polityki reform socyalnych: paneś zapomniał o pierwszej, zaniechał drugiej.

Jakże możesz Pan żądać obecnie, abyśmy dalej mieli zaufanie do Pana“ !...

Nie to jednakże spowodowało upadek Brianda. Dowody deputowanego Malvy były tylko kroplą, która przepełniła kielich goryczy. Cały szereg skandalicznych zarządzeń, kompletna góra represyi, wielokrotne prześladowania i częste masakrowania ludu na ulicach, wszystko to, jakkolwiek znajdowało chwilową aprobatę wśród członków parlamentu (większości parlamentarnej), oszołomionych magicznem słowem premiera, niemniej nie wróżyło mu długotrwałej egzystencyi. Gdy radykali spostrzegli, że polityka represyi i prześladowań, wymierzona przeciw ruchowi emancypacyjnemu klasy robotniczej, budzi z jednej strony niezadowolenie ludu, niepokój wewnętrzny, anarchię socyalną, i z drugiej podnieca reakcyę i kontrrewolucyę, dodaje jej animuszu, i staje się zagrażającem spokojowi i republice niebezpieczeństwem, — zrozumieli, że kontynuowanie tej polityki może mieć fatalne, wcale przewidzieć się nie dające następstwa. Że istotnie rządy Brianda były na rękę rozpanoszonej reakcyi klerykalnej i rojalistycznej, dowodzi ten fakt, że we wszystkich prawie wystąpieniach popierała go swemi głosami, a obecnie sprawiła mu pogrzeb pełen hołdów i komplementów, obsypując go wiązankami róż pąsowych i niezapominajek.

I oto rządzący w parlamencie radykali i radykali-socyaliści postanowili raz na zawsze z polityką Brianda skwitować — i skwitowali.

Briand ustąpił z widowni politycznej, mając przylepioną przez socyalistów etykietę do czoła:

„A r i s t i d e B r i a n d l e r e n é g a t p a r é x c e l l e n c e e t l' E x c e l l e n c e d e s r e n é g a t s“.

* * *

Cała bez wyjątku prasa europejska zgadza się z tem, że obecne przesilenie ministeryalne we Francyi może stać się „doniosłym dziejowym momentem zwrotnym“. Zachowując całą rezerwę i sceptycyzm wobec przyszłych konjunktur polityki europejskiej, skłonny jestem mniemać, że w procesie życia społeczno - politycznego najbliższych czasów zajdą zmiany kardynalne, które fizyognomię dzisiejszej Europy, rozwścieczonej i zdegenerowanej, w pewnym stopniu przeobrażą.

Uczynimy retrospektywny rzut oka na dzieje ostatniego dziesięciolecia, zwłaszcza na drugą jego połowę, a okropny obraz, zamglony kurzem krwi, stanie nam przed oczyma.

Zaiste, tak olbrzymiego rozmiarami i tak przerażającego ogromem zgrozy obrazu już dawno nie widziała Europa.

Zatopiona — w dosłownem znaczeniu tego słowa — w morzu krwi rewolucya rosyjska; długi łańcuch szubienic, nieprzerwanem pasmem ciągnący się od wybrzeży Wisły poprzez Wołgę, góry Uralskie, jezioro Bajkał aż do morza Ochockiego i półwyspu Kamczatka; pogromy żydowskie, na których wspomnienie krew ścina się w żyłach; pruska polityka antypolska, przypominająca w bardziej kulturalnej formie czasy Nerona i Torquemady; przesiąknięta duchem kannibalistycznym europejska polityka kolonialna; miliardy rokrocznie w zdwojonej ilości wraz z stalą topione na działa i pancerniki; zgroza historycznego mordu, dokonanego w Hiszpanii przez

*) Prawa o zamknięciu kongregacyi religijnych.

czarną międzynarodową bandę jezuicką na osobie niewinnego Franciszka Ferrera itd. itd. itd. — wszystko to uzyskało sankcyę cywilizacyi naszego XX. wieku. Śmiało, też bez cienia paradoksu, powiedzieć możemy, że satelitą zarania tego wieku była purpurowa gwiazda średniowiecza!

Na tej samej orbicie obok barbarzyńskiej Rosyi, obok jezuickiej Hiszpanii, obok junkierskich Prus, widzieliśmy również i republikańską Francyę.

Ale tylko przez chwilę! Podczas rządów Clemenceau i Brianda, którzy tak świetnie godzili się z panem Maura i generałem Trepowem.

Dzisiaj sumienie republikańskiej Francyi przebudziło się. Ona chce dalej być pochodnią cywilizacyi, demokratyzmu, humanitaryzmu. Przebudził się również i prezydent Fallières.

I oto ukonstytuował się gabinet, który rokuje— mówiąc tonem optymisty — „najlepsze nadzieje“.

Szefem nowego gabinetu ministeryalnego we Francyi jest senator Monis. Do współpracy dobrał sobie ludzi takich jak Delcassé, Berteaux, Cruppi, Caillaux. Wszyscy oni są znani przedewszystkiem, jako uczciwi demokraci i republikanie. Są to również ludzie zdolni, pracowici, mający za sobą poważne zasługi społeczne i naukowe. Żaden z nich nie jest socyalistą. Ale hasłem ich jest współpraca z socyalistami, oparcie na elementach jak najbardziej radykalnych i wolnomyślnych. Wiedzą oni doskonale, że uczciwą polityką świecką i republikańską może być tylko polityka demokratyczna, której pierwszem zadaniem jest stać na strażnicy interesów ludu i pomyślnie doprowadzić do końca rozpoczęto dzieło reform socyalnych. I rozumieją — że urzeczywistnić ten program zdołają tylko przy pomocy syndykatów i partyi socyalistycznej, będącej wyrazicielką i reprezentantką interesów potężnej klasy robotniczej. „Tylko tym sposobem — twierdzi Jaurès — uda się zaprowadzić ład wewnętrzny, dobrobyt narodowy i kulturalny rozwój kraju“.

Jedną z poważnych trosk współczesnej Francyi jest obrona narodowa. Powołanie Delcassége i powierzenie mu teki ministra marynarki ma być tego poważną rękojmią. Minister wojny, Berteaux, który już tę samą tekę dzierżył przed laty (1904—1905) w gabinecie Rouviera i pozostawił dobrą po sobie pamięć, zdaje sobie dokładnie sprawę z zaborczych planów Wilhelma II. Nic tedy dziwnego, że konserwatywna prasa niemiecka wcale nie kryje się ze swem niezadowoleniem z nowego gabinetu francuskiego. Podkreślić również trzeba, że i Rosyi wcale nie leży na ręku „skrajny radykalizm“ p. Cruppi (nowy minister spraw zagranicznych), który specyalnie nie podoba się rządówce R a s s i j a i półurzędówce N o w o j e W r e m i a. Ze swem niezadowoleniem nie kryje się także i rzymska O s s e r v a t o r e R o m a n o (organ watykański). Oficyalny organ papieża zarzuca nowemu gabinetowi straszne zbrodnie: wolnomyślność i antyklerykalizm. Prasa austryacka zachowuje się z pewną rezerwą, raczej indyferentyzmem, ale za to prasa angielska z zapałem wita nowych ministrów, widząc w nich rękojmię pokoju europejskiego i wewnętrznego rozkwitu Francyi oraz strażnicę wolności i demokratyzmu. Zwłaszcza Delcassému, którego osobistą i poważną zasługą jest zaprowadzenie E n t e n t e c o r d i a l e pomiędzy Anglią i Francyą, radykalne dzienniki nie szczędzą dytyramb i panegiryków, jakkolwiek socyalistyczne zarzucają mu, że dążąc do ustanowienia aliansu anglo-francuskiego, ma na celu — wojnę z Niemcami.

Gabinet Monisa nie wystąpił jeszcze ze swym programem. Ma to nastąpić za kilka dni. Niemniej niektórzy członkowie gabinetu zwierzyli się już w kilku głównych kwestyach natrętnym dziennikarzom. Jest również niewątpliwem, że deklaracya gabinetu uwzględni pryncypalne d e s i d e r i a ludu. A pisma radykalne twierdzą, że są one następujące:

1) Cofnięcie wszystkich antyrobotniczych zarządzeń poprzedniego gabinetu. Zwolnienie nieprawnie uwięzionych robotników i przywrócenie na zajmowane stanowiska kolejarzy, relegowanych w porozumieniu z poprzednim gabinetem przez kompanie kolejowe za udział w niedawnym strajku*). Gruntowna reforma zarządów sprawiedliwości i policyi, gwałcących na każdym kroku elementarne prawa obywatelskie.

2) Zmiana ordynacyi wyborczej na t. zw. reprezentacyę proporcyonalną. System ten posiada zwolenników we wszystkich frakcyach parlamentarnych. Rząd poprzedni wciąż ociągał się z wyniesieniem tej sprawy przed forum poselskiem. Rząd obecny zdaje się być przychylnie usposobionym dla tej bardzo radykalnej inowacyi.

3) Uznanie prawa syndykalnego dla wszystkich obywateli państwa.

4) Dymisya prefekta policyi paryskiej Lépine'a, człowieka okrutnego i wszechmocnego, korzystającego z najbłahszej sposobności, by wywołać pogrom robotników na ulicach.

5) Amnestya dla wszystkich tych, których gabinet poprzedni uwięził za antyrządowe artykuły (zgwałcenie wolności prasy), za antyrządowe mowy (zgwałcenie wolności słowa), za udział w strajkach (zgwałcenie wolności strajkowania) etc.

Radykalna opinia publiczna żywi nadzieję, że deklaracya ministeryalna położy kres nieufności ludu i wyprowadzi Francyę na drogę pokojowego współżycia.

Przyszłe konjunktury polityczne przedstawiają się tedy dość jasno. Półoficyalny organ obecnego ministeryum (partyi radykalnej i radykalno-socyalistycznej, z których właśnie wyszedł obecny gabinet) ujmuje je w taką mniej więcej syntezę: Rząd Monis-Berteaux-Delcassé, taki, jakim jest w tej chwili zdaje się dawać wszelkie gwarancye przeciwko niebezpieczeństwu, grożącemu dwóm głównym kierunkom polityki państwowej: polityki zewnętrznej i wewnętrznej. Co do pierwszej, to pp. Berteaux i Delcassé uczynią z Francyi mocarstwo silne i cieszące się respektem. Obrona narodowa w ich ręku jest zabezpieczona. Z drugiej strony obecność p. Cruppi na stanowisku ministra spraw zagranicznych jest zadatkiem pacyfizmu i dobrej woli porozumiewawczej, która ożywi dyplomacyę francuską. Co do polityki wewnętrznej, to będzie ona szeroko-liberalną i mądrze reformatorską, zabezpieczającą każdemu wolność osobistą a krajowi ekonomiczny i kulturalny rozkwit.

*) Nigdy jeszcze nie panowała taka anarchia na kolejach francuskich, jak dzisiaj. Niema tygodnia, w którym nie zdarzyłyby się mniej lub więcej poważne katastrofy, pociągające za sobą dziesiątki ofiar. Ubiegłego tygodnia 800 wagonów naładowanych towarem uległo pożarowi na dworcu w Hawrze. Straty wynoszą 7 milionów franków. Przyczyny tych katastrof tłómaczą się jedynie odwołaniem fachowych urzędników kolejowych i dróżników (za udział w strajku) i zastąpieniem ich przez zwykłych robotników, nieobeznanych ze skomplikowaną machiną dróg żelaznych. Każdy pasażer podróżujący dziś kolejami francuskiemi jest narażony na śmierć lub kalectwo. Obecne ministeryum ma temu kres położyć.

W. LIS.

REWOLUCYA W MEKSYKU.

W chwili, gdy to piszę, przyczyna mobilizacyi wojsk Stanów Zjednoczonych na granicy Meksyku nie jest jeszcze zupełnie wyjaśniona, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa idzie tu o spisek plutokracyi amerykańskiej, ręka w rękę idącej z tyranią dzisiejszych rządców Meksyku. Przemawia za tem przedewszystkiem tajemnica, jaką otoczone zostały pierwsze kroki rządu Stanów Zjednoczonych, któremu widocznie o to idzie, aby opinia publiczna jaknajpóźniej zoryentowała się we właściwym celu wyprawy wojennej. Z jednej strony bowiem widzimy tam nakazy spiesznego mobilizowania dość znacznych, jak na amerykańskie stosunki, sił wojskowych (połowa armii stałej i znaczna część floty), z drugiej zaś zapewnienie, że idzie tu tylko o manewry, że zarówno prezydent Taft, jak i inni wyżsi urzędnicy jadą na urlopy, że zatem o jakiejś poważniejszej rozprawie niema mowy. Tymczasem po pewnym czasie okazało się, że te urlopy spędzane będą przez p. Tafta i innych nad granicą meksykańską, a wojsko jedzie na manewry z ostremi ładunkami, olbrzymiemi zapasami prowiantu i t. d.; przytem ilość wojska zmobilizowanego była taka, jakiej żadne jeszcze manewry w Ameryce nie widziały, a sekundować im miały statki wojenne, obsadzające wybrzeża Meksyku.

Charakterystyczne jest też zachowanie się dyplomacyi meksykańskiej. Nagromadzenie tak znacznej siły wojennej nad granicą wywołałoby ze strony każdego państwa, nie będącego w stanie zupełnego upadku, protesty, stanowiłoby klasyczny casus belli. Tymczasem p. Porfirio Diaz, prezydent, a raczej dyktator Meksyku, rozpływa się w czułościach pod adresem Stanów Zjednoczonych i wszyscy jego przedstawiciele przy dworze austryackim, angielskim itd. powtarzają, że nie mają bynajmniej za złe republice anglosaskiej jej gromadzenia wojsk. Jednocześnie zaś twierdzą oni, iż powstanie w Meksyku jest drobnostką, o której nie warto mówić. Jednem słowem, albo rzeczywiście Stany Zjednoczone chcą tylko odegrać rolę żandarma Meksyku i stłumić ruch rewolucyjny, obsadzając granicę silnym kordonem wojsk i nie przepuszczając rewolucyonistów meksykańskich, którzy dotąd chronili się na terytoryum Stanów, uniemożebniając im dowóz broni i amunicyi, albo jest to spisek Targowicy meksykańskiej z imperyalistami amerykańskimi, mający na celu zgniecenie rewolucyi wewnętrznej, choćby kosztem niepodległości ojczyzny.

Cała dotychczasowa historya rewolucyi meksykańskiej upoważnia do powyższych wniosków. Rewolucya ta skierowana jest bowiem zarówno przeciwko tyranii wewnętrznej, jak przeciw obcemu kapitałowi, pochodzącemu przeważnie z północy i z tą tyranią sprzymierzonemu. Ale sprawę tę należy nieco wyjaśnić.

Ameryka południowa i środkowa znana jest jako klasyczny kraj rewolucyi. Rewolucye te były jednak bardzo specyficzne. Kraj był tam do niedawna mało zaludniony i pozbawiony przemysłu. Dla wielkich właścicieli ziemskich, ich pastuchów i nomadów indyjskich zupełnie było obojętne, jaka jest forma rządu, byleby on ich zbytnio nie wyzyskiwał. Za to w miastach przebywała stale pewna ilość urzędników i drugie tyle aspirantów na urzędy. Ci to ostatni stanowili „ferment rewolucyjny“, a ich zwycięstwo nie sprowadzało żadnych zmian politycznych, oprócz zastąpienia jednej zgrai skorumpowanych pasożytów inną. Tak było od początku w. XIX., tak jest w większość tych republiczek dotąd, tak było też dawniej w Meksyku. Jednak w tym ostatnim kraju (a do pewnego stopnia i w paru innych, jak Argentyna, część Brazylii i Czili) zaczęła się od pewnego czasu rewolucya, wywołana przenikaniem kapitalizmu, powstawaniem nowych potrzeb i nowych myśli. Ze zjawieniem się fabryk, kopalń, wielkich gospodarstw eksportowych powstała liczna klasa ludzi, mających interesy w tem, by kraj był porządnie administrowany, miał drogi, kanały, bezpieczeństwo publiczne, domagających się pewnej określonej, odpowiadającej ich potrzebom polityki ekonomicznej itd. Tych ludzi nie mogli zadowolnić dawni awanturnicy, stojący u steru rządu. Zaczęła rosnąć warstwa inteligencyi (inżynierowie, handlowcy, t. zw. profesye wyzwolone, dziennikarze), którzy rozumieli zalety prawdziwego konstytucyonalizmu i nie potrzebowali szukać w słowniku, by znaleźć określenie wyrazu „parlament“, jak to czynili powstańcy peruwiańscy na początku w. XIX. Ci wszyscy ludzie zaczęli się burzyć przeciwko starej anarchii.

W Meksyku zaś przybył do tego pewien inny jeszcze czynnik. Kapitał zjawił się w tym kraju w formie przedsiębiorstw zagranicznych, przeważnie kapitałów trustów amerykańskich. Agenci tych trustów bardzo prędko nauczyli się wyzyskiwać korupcyę i zwykłą nikczemność rządu, opłacali jego członków, a za to dostawali możność popełniania najskandaliczniejszych nadużyć. Najgorzej wychodzili na tem robotnicy. Musieli oni konkurować z półniewolniczą pracą Indyan, których siłą zbrojną zmuszano do zawierania kontraktów, oddających ich na łaskę i niełaskę panów. Swobody koalicyi, prasy i t. p. nie nie było wcale. Strajki, z natury rzeczy niezorganizowane i chaotyczne, tłumiono salwami karabinowemi. W ten sposób kapitał obcy stawał się sojusznikiem rodzimej reakcyi i bezprawia; a przeciwko tyrańskim rządom kliki rządzącej tworzyła się koalicya inteligencyi, rodzącego się przemysłu krajowego i proletaryatu.

Dzisiejszy samowładca Meksyku, Porfirio Diaz, od 36 lat (z jedną krótką przerwą) rządzi krajem w ten sposób, iż co 6 lat urządza komedyę (raczej tragedyę) wyborów i wtedy za pomocą wojska, „wybiera“ siebie na prezydenta. Za jego rządów rozwinął się kolosalnie handel i przemysł. Pisma europejskie, powtarzające zwykle bezmyślnie to, co jego agenci drukują, rozpisują się o dobroczynnym wpływie tych rządów na kraj. W rzeczywistości rozwój ten zawdzięczać należy olbrzymim bogactwom naturalnym Meksyku, ale pod błyszczącą powierzchnią cyfr eksportu i importu kryje się całe morze nędzy ludzkiej, łez i krwi.

Od dłuższego czasu też stale to tu, to ówdzie odbywają się bunty. Są to albo strejki, we krwi tłumione, albo zupełnie chaotyczne bunty indyjskich niewolników, albo sprzysiężenia różnorodnych żywiołów, stanowiących element rewolucyjny (inteligencya miejska, oficerowie, robotnicy). Ci rewolucyoniści szukają zwykle schronienia w Stanach Zjednoczonych. Ale władze Stanów stoją po stronie dyktatora Meksyku, aresztują rewolucyonistów meksykańskich, karzą ich więzieniem lub wydają w jego ręce. Emigranci meksykańscy protestują oczywiście przeciwko takiemu postępowaniu, a dla ich obrony utworzyła się „Liga obrony zbiegów politycznych“, składająca się z socyalistów i prawdziwych postępowców, która, kosztem znacznych sum prowadzi procesy przeciwko przekupnym sędziom lub policyi i niejedną ofiarę już ocaliła. Na ostatnim „Międzynarodowym Zjeździe socyalistycznym i ro-

botniczym“ zjawiła się delegacya zbiegów meksykańskich z prośbą o ujęcie się za ich losem, co też zostało dokonane w formie rezolucyi protestującej i obietnicy poparcia ich w prasie i parlamentach.

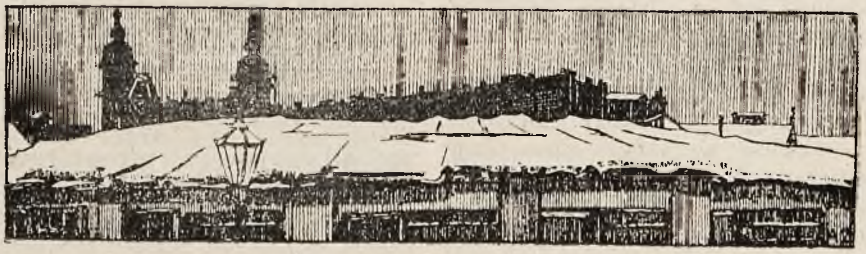
Ciekawe dla nas to, że prawą ręką Diaza jest niejaki Kosterlicki, Polak, typ awanturnika międzynarodowego, który dosłużył się stopnia pułkownika i odznacza się specyalnem okrucieństwem w mordowaniu strejkujących robotników, paleniu wiosek indyjskich i wieszaniu powstańców,

Dzisiejsze powstanie trwa już około roku. Kto jest ciekawy jego szczegółów, a nie może sięgać do źródeł hiszpańskich, ten znajdzie dużo informacyi w wychodzącym w Chicago „Dzienniku Ludowym“, organie socyalistycznym polskim, który brał czynny udział w obronie rewolucyonistów meksykańskich.

Powstanie dalekiem jest od zwycięstwa ale utrzymuje się w północnych, najbardziej przemysłowych stanach Meksyku. Najwybitniejszymi jego kierownikami są Gomez, Madero i Larra (socyalista). Ze strony socyalistów i części demokratów meksykańskich udzielana jest pomoc. Teraz ta pomoc ma być uniemożebniona.

Możliwem jest zupełnie, że Diaz oraz jego akolici wyjdą na swych zachodach tak, jak ongiś nasi twórcy konfederacyi Targowickiej. Sprowadzą obce wojska w przekonaniu, że te będą dla nich wyciągały kasztany z ognia, a potem dopiero poczują na własnej skórze, jakie to daje wyniki. Bardzo nawet być może, iż wtedy oni, albo część z pomiędzy nich, zechcą bronić się przed inwazyą jankesów. Okaże się to prawdopodobnie w blizkiej przyszłości.

D. 14 marca 1911 r.



Dr. ALEKSANDER LISIEWICZ.

BUDŻET MIASTA LWOWA.

II.

Historya miasta ciekawe zapisała szczegóły o budżecie miejskim i o stanie gospodarki miejskiej zarówno z czasów przed uzyskaniem samorządu, jak też z epoki pierwszej po uzyskaniu samorządu, kiedy to zrozumienie potrzeb i obowiązków nowoczesnego miasta było dopiero w zawiązku, a wszelkie próby śmielszego ruchu po za utarte koleje z myślą o dalszej przyszłości były uważane jako kataklizm...

Po ciemnych dniach absolutyzmu, „wiosna ludów“ w roku 1848 przyniosła miastu pierwszą próbę nowoczesnej reprezentacyi samorządnej. Stan finansowy miasta przedstawił ówczesny prezydent Gnoiński bardzo dobitnie takiemi oto słowy: Kasa miejska świecąca pustkami, dobra za bezcen wypuszczone, lasy brutalnie trzebione i walące się realności miejskie — oto nasza spuścizna.

Budżet, który w tych warunkach złożono, nie był wesoły. Cyfra wydatków obliczoną była na 359.173 złr. mon. konw. (około 750.000 koron), niedobór przewidziany był na sumę 79.800 złr. m. k. (około 168.000 koron).

Po bombardacyi ratusza miasto musiało podówczas myśleć o odbudowie gmachu i o środkach na ten cel, a ze starań o pożyczkę dowiadujemy się, że towarzystwo kredytowe chciało dać na hipotekę miasta sumę 600.000 złr. m. k., zaś na hipotekę dóbr miejskich 75.000 złr., razem tedy około 1.420 tysięcy koron.

Kredyt miasta tedy nie sięgał zbyt wysoko, a i gospodarka obracała się w ramach wcale ciasnych. Charakterystycznem jednak jest, że administracya naczelna sama, nie licząc izby obrachunkowej, kosztowała przeszło 136.000 złr. m. k., na dobroczynność preliminowano tylko 9.000 złr., na oświetlenie, czyszczenie i brukowanie 84.000 złr., na straż miejską i ogniową 47.000 złr. a na cele oświatowe aż 7.000 złr. m. k.! Warto też w tem miejscu dodać, że stolica kraju miała podówczas 1 szkołę główną t. z. normalną (wzorową) dla chłopców, 2 szkoły parafialne dla chłopców i dziewcząt i 3 szkoły trywialne — razem wszystkiego 6 szkół.

Dochody ciągnęło podówczas miasto głównie z opłat od wyrobu piwa, wódki i miodu (115.000 złr.), z myta (75.000 złr.), taks (27.000 złr.), z dóbr miejskich (21.000 złr.).

Zaprowadzenie własnej izby obrachunkowej, pewnej kontroli nad dochodami i zniesienie różnych przywilejów, a w r. 1863 wydzierżawienie przez gminę poboru akcyzy rządowej na miejskich rogatkach — wszystko to wpłynęło na powiększenie przychodów, które ze sumy 303.000 złr. m. k. w r. 1850 podniosły się na 458.000 złr. w roku 1860 a 714.212 w r. 1871 (ostatnim z czasów przedsamorządowych). Gospodarka w tej epoce przejściowej ulegała powolnym zmianom i przeobrażeniom.

Szło ku lepszemu, podnosiły się wydatki na policyę sanitarną, ogniową, na drogi i bruki, na oświetlenie i wodociągi, na szkoły itp.

Rozchody rzeczywiste wyniosły w r. 1850 sumę 466.000 złr. m. k., w r. 1860 sumę 517.000 złr. w. a. a wreszcie w r. 1871 już 757.722 złr. Ale czasy te były tylko epoką małomiasteczkowych porządków, krajcarowych pożyczek i ciągłych niedoborów, które wprawdzie psuły humor, ale nie sięgały tak głęboko w stosunki miejskie,

ażeby doprowadziły do przewrotu w zapatrywaniach i w trybie gospodarczym.

Epoka samorządu zastała poważniejszy w stosunku do budżetu niedobór, bo już 230.000 złr. (około pół miliona koron), ale pierwsze czasy nowych rządów poświęcone były głównie pracy organizacyjnej i dopiero powoli wyłoniły się wśród reprezentacyi miejskiej dwa zasadnicze kierunki gospodarcze, które na długie lata stanowiły główną oś rozpraw i walk na terenie radzieckim. Reprezentanci jednego kierunku traktowali gospodarkę miasta ściśle wedle modły gospodarki osoby prywatnej, bronili tedy haseł bezwzględnej oszczędności i wiązania końców ze sobą za wszelką cenę, a na wypadek niedoboru domagali się pokrycia ze sprzedaży miejskiej własności nieruchomej lub z zastawu papierów wartościowych, reprezentanci drugiego kierunku natomiast domagali się zaprowadzenia nowych źródeł dochodów w formie nowych opłat lub podatków, a także zaciągnięcia jednej znaczniejszej pożyczki, z którejby wszystkie stare długi naraz spłacono, a przez rozumne inwestycye stworzono nowoczesne, szerokie podstawy do dalszego rozwoju miasta.

Z górą dwadzieścia lat trwała walka między temi prądami.

Żelazna konieczność zmusiła Radę miasta do zaprowadzenia gminnego podatku czynszowego w r. 1874 i dodatków do podatków stałych w r. 1882, co znamienicie polepszyło dochody miasta, ale nie usunęło niedoborów i nie zaspokoiło potrzeb rosnącego i rozwijającego się miasta. Pierwsze hasła o konieczności zaciągnięcia znaczniejszej pożyczki inwestycyjnej na cele miasta, były tak niepopularne, że sama wieść o nich wzburzyła opinię powszechną do głębi. Osobny komitet wyborczy pod hasłem „łączności i zgody" wytoczył szeroką krucyatę przeciw zwolennikom pożyczki i za jednym zamachem utrącił nietylko ówczesnego prezydenta Jasińskiego, ale przeszło 50 radnych pozbawił mandatu.

Dopiero po dalszej dziesiątce lat, kiedy po całym szeregu drobniejszych pożyczek i ciągłych niedoborów długi miasta przekroczyły już sumę 6,000.000 K i najzaciętsi przeciwnicy przekonali się o konieczności prowadzenia polityki finansowej na dalszą metę, z początkiem r. 1894 postanowiła Rada miasta zaciągnąć pożyczkę 20 milionów koron, spłacić z niej wszystkie długi, a przez włożenie 12 milionów w urządzenie wodociągów, powiększenie gazowni, wykupno kolei elektrycznej, budowę nowej rzeźni, nowych szkół, nowego teatru, przytuliska itd., itd. pchnąć miasto radykalnie na drogę nowoczesnego rozwoju.

Stało się, a dzisiaj po kilkunastu latach widzimy, że stało się dobrze.

W ciągu tych lat kilkunastu miasto przeobraziło się do niepoznania. Rozrosło się do rozmiarów, których inicyatorowie nowej polityki gospodarczej nawet nie przewidywali, przybrało szaty niewątpliwie piękne, europejskie, daje mieszkańcom całą sumę nowoczesnych urządzeń i udogodnień, o których starsze pokolenie nawet marzyć nie śmiało.

Cyfry budżetowe mówią także wymownie.

Wydatki roku 1880 wynosiły 1,016.000 złr. (2,032.000 koron), w roku 1890 urosły tylko do 2,547.000 koron, w roku 1900, a więc w kilka lat po pożyczce doszły już do sumy 5,746.000, w r. 1910 na 7,600.000 koron!

W ciągu pierwszych 25 lat samorządu tylko żelazna konieczność zmusza miasto do powolnego rozsuwania ramek rozwoju, w drugiej epoce świadoma wola wytwarza nowe warunki bytu i daje nowe podstawy istnienia nowoczesnego miasta.

Z PRASY POLSKIEJ.

„PRAWDA" O WYBORACH LWOWSKICH.

W „Prawdzie" warszawskiej zamieszcza znany socyolog i publicysta, p. Ludwik Kulczycki w jednym ze swych interesujących „Listów galicyjskich", szereg uwag o wyborach do Rady miasta. P. Kulczycki pisze między innemi:

„...Ludowcy, zupełnie niepotrzebnie, utworzyli odrębny komitet i własną listę, chociaż członkowie ich w Radzie miejskiej zasiadali w Klubie Reformy...

Lichy lekarz i gorszy jeszcze polityk skoncentrował w swoim ręku akcyę wyborczą ludowców, za którą jest przeważnie odpowiedzialny"...

„Ludzkość po wiekowym doświadczeniu doszła do wniosku, że partye polityczne są potrzebne i że radnych i posłów wybiera się wedle ich przekonań. Panie lwowskie, grupujące się koło komitetu kobiecego, uznały, że ludzkość się pomyliła i postanowiły głosować „etycznie". Dlatego też umieściły na swojej liście różnych narodowych demokratów osobiście uczciwych, ale krętaczy, demagogów i szalbierzy w życiu publicznem...

„Panie te nie mogły tego zrozumieć, że „etyczni" ludzie głosują ze swoimi klubami, i że „etyka" ich nie może zmienić taktyki ich partyi".

W konkluzyi podnosi p. Kulczycki przyrost ogromny głosów postępowych i dodatni wpływ samej walki:

„Agitacya przedwyborcza zrobiła także swoje: mieszkańcy Lwowa, z ust członków Klubu Reformy, dowiedzieli się wielu rzeczy o gospodarce miejskiej.

„Ostatnie wybory do Rady miejskiej przekonywają raz jeszcze, że przeczulenie pseudo-narodowe jest w Galicyi głównym sprzymierzeńcem wstecznictwa, że utrudnia ono reformy demokratyczne. Żywioły postępowe powinny więc bezwzględnie zwalczać frazeologię nacyonalistyczną, śmiało wysu-

nąć sprawę porozumienia się z Rusinami, oraz demaskować rozmaite pseudo-postępowe żywioły, wysługujące się narodowym demokratom.

„Klub Reformy, zdaniem moim, powinien utworzyć stale funkcyonującą organizacyę miejską, przez utworzenie komitetów dzielnicowych i powołanie mężów zaufania. Tylko organizacya stała żywiołów postępowych uwolnić może stopniowo Lwów od szarańczy narodowo-demokratycznej.

„Stała organizacya przyzwyczai ludzi do prawidłowego działania, do dyscypliny partyjnej, i ułatwi późniejszą akcyę wyborczą do ciał reprezentacyjnych w stolicy, kraju i państwie".

SILVA RERUM.

W CZTERDZIESTĄ ROCZNICĘ KOMUNY. Rok 1871, ośmnasty marca... Zamach przed brzaskiem dnia, w mroku nocnym wykonany przez obrońców porządku na armaty burzącej się gwardyi narodowej — niespodziewany w swej gwałtowności opór gwardyi i ludu — wojsko fraternizuje z tłumem — dwaj generałowie pochwyceni, kolbami zbici, rozstrzelani — ucieczka władz do Wersalu — Paryż w ręku żywiołów rewolucyjnych — wrące okrzyki „*Vive la republique!*, *Vive la Commune!*" — początek największej, najkrwawszej, najzawziętszej wojny domowej, jaką widziała Europa XIX w. Śmiertelna rozprawa między obrońcami porządku społecznego, opartego na bezwzględnem i nieskrępowanem wyzyskiwaniu pracy, a wydobywającemi się na widownię dziejową potęgami przewrotu. W rezultacie dziesiątki tysięcy trupów, w czem do kilkunastu tysięcy rozstrzelanych. Dreszcz przechodzi dzisiaj jeszcze zwyciężonych i zwycięsców, ilekroć w oczach ich stanie w całej grozie widmo markiza *à talon rouge*; zmasakrowanego, wśród zniewag i męki na śmierć wiedzionego Varlina, płonących Tuilleryi, rozstrzeliwanych zakładników.

Widmo krwawe wojny socyalnej, rozegranej przed laty czterdziestu, jest przestrogą dla zwycięsców, dla zwyciężonych i dla tych, którzy stojąc pośrodku i oceniając sprawiedliwie stan rzeczy, nie umieli przecież silną i śmiałą ręką powstrzymać katastrofy. Zwycięscom winno być wspomnienie Komuny palącym wyrzutem sumienia, że strwonili entuzyazm, zapał ofiarny, męstwo bojowe tego bohaterskiego ludu, gdy z najazdem obcym była sprawa; że świadomie i celowo prowokowano oburzenie tego ludu i pchnięto go do czynów rozpaczy; że w wojnie domowej, pod salwami szassepotów i pod kartaczami konać kazano tysiącom mężnych, którym nie dano życia nieść za ojczyznę przy wycieczkach z oblężonego Paryża; że kosztem straszliwego upustu krwi narodowej powstrzymać chciano na dziesiątki lat rozwój społeczny Francyi... A przestrogą jest heroizm sfederowanych, okazany na placu boju i placu stracenia. Przestrogą ten rząd ludzi nieznanych, wyłonionych przez tłum z mroków progandy tajnej i sprzysiężenia. Przestrogą jest to oszołomienie radości, w jakiem żył lud Paryża wtedy nawet, gdy w ulicach miasta trzaskały już szassepoty.

Dla zwyciężonych inna przestroga: straszliwe ich osamotnienie w momencie wybuchu, osamotnienie stąd płynące przedewszystkiem, że do walki z wrogiem wewnętrznym, reakcyą, porwali się w obliczu wroga zewnętrznego, najezdniczej, armii niemieckiej, że zmuszeni byli unikać konfliktu z najeźdcami, aby móc przed swoimi się bronić... I stąd jeszcze osamotnienie ono płynęło, że powstanie Paryża podawało w wątpliwość prócz niepodległości Francyi także jedność państwową narodu. Przeobrażenia społeczne nie mogą się dokonywać na gruncie niepodległej gminy; fundamentem do nich jest narodowe państwo. I zgrzeszyli jeszcze Paryżanie zwykłym dotąd grzechem przywodców proletaryatu rewolucyjnego; wyznawca idei zabijał w każdym niemal z ich działaczy człowieka czynu. Dekretowała Komuna mądre przeważnie i szlachetne ustawy socyalne, nie myśląc o tem, że ci, dla których je przeznacza, mogą być jutro kupą krwawego mięsa. Wypuściła z rąk opuszczony Mont Valerien — klucz Paryża, a pamiętała o dziecinnej zemście nad pomnikiem bonapartyzmu, ale i chwały narodowej — kolumną Vendome. Mogła w marcu uczynić swym zakładnikiem rząd wersalski i Zgromadzenie Narodowe; uczyniła zakładnikami ludzi w znacznej części niewinnych nieszczęściu, ludzi, których Wersal z lekkiem sercem wydał zemście sfederowanych. Nie umiała dostarczyć Dąbrowskiemu żołnierzy — dostarczyła tłumy bohaterskich ofiar zemście Wersalczyków. Na sumieniu sterników Komuny cięży zbrodnia: nieumiejętność w spełnieniu zadania, które wzięli na swe barki. Zbrodnię tę zmyła chyba krew ofiarna Duvalów, Delescluzów, Varlinów.

Pozostaje trzecia siła: radykalni republikanie. Mogli oni ocalić wszystko — gdyby byli siłą. Czem byli? Sztabem bez wojska, grupą teoretyków i intelektualistów, niezdolnych do energicznego działania. Pośrednictwo ich zlekceważyły strony obie, jak lekceważy się zawsze pośrednictwo ludzi słabych. Losem ich było nieme znoszenie zniewag w Wersalu, usunięcie się z widowni wydarzeń, lub przyłączenie się do Komuny. Uroczyście dokonali tego aktu wolni mularze, a deputowany Millière krwią swoją przypłacił współczucie najszlachetniejszej części mieszczaństwa z ludem pracującym. Rzecz przecież znamienna: z krwawego rumowiska Komuny obok socyalizmu, odrastającego zwolna i opartego o masy zorganizowane proletaryatu, dźwignął się również szczery i odważny radykalizm mieszczański, broniący Francyi przed nową wojną socyalną, przez pracę reformatorską torujący drogę do społecznego postępu.

Na ostatek — słowo o tułaczach polskich, którzy w Komunie widzieli wybuch nowy wulkanu, mogącego, jak niegdyś, wylać swą lawę ku ich ujarzmionej ojczyźnie, jutrznię nowego życia, mogącego zaświtać dla Europy; którzy oddali sprawiedliwość bohaterskim proletaryuszom Paryża; którzy najlepiej ze wszystkich oficerów Komuny rozumieli, czem jest powstanie i wojna, a pośród obrońców Paryża w pierwszym stanęli rzędzie. Więc Jarosław Dąbrowski, wódz naczelny Komuny, z pasyą mówiący o jej niedołęstwie, broniący się z dwoma coś tysiącami ludzi przeciw 24.000 Wersalczyków, a marzący, jak ongi Sułkowski, o wielkiej armii rewolucyjnej, którą powiedzie jutro na Wersal, pojutrze do Berlina. „...Organizacya tylko źle idzie — skarży się wódz naczelny — gdyby nie to, innąby mi Wersalczycy zaśpiewali piosenkę. Wiecie, jakie to bataliony najbardziej mnie kochają i uwielbiają? Te, które już prowadziłem w ogień i które straciły połowę żołnierzy. Druga połowa dałaby się za mnie porąbać na sztuki, poszłaby za mną na koniec świata..." Na tym końcu świata była Polska.

Obok niego Walery Wróblewski, który podczas rzezi majowej daremnie zażąda od Komuny „tysiąca walecznych" jako warunku do objęcia naczelnego dowództwa; a dalej Okołowicz, Czarnowski generałowie, Baranowski, Świdziński, Teofil Dąbrowski, Rożałowski, Rozwadowski pułkownicy; Rogowski, Kamieniecki komendanci fortów; Sroczyński, Witkowski, Tomaszewski, Małachowski kapitani i długi szereg innych, zabitych, rozstrzelanych lub zbiegów — ostatni legion polski w służbie Francyi rewolucyjnej. Więc była Komuna krwawym ślubem sprawy polskiej demokracyi rewolucyjnej ze sprawą proletaryatu.

Tłumem powstają widma, tłumem cisną się myśli w dzień czterdziestej rocznicy, ośmnasty marca....

NASZA ROZPRAWA PRASOWA. W poniedziałek d. 13 bm. odbyła się przed trybunałem prasowym we Lwowie jawna rozprawa prasowa, na skutek rekursu, który wniosła redakcya „Życia" przeciw pierwszej konfiskacie, jaką pismo nasze zostało dotknięte. Szło o artykuł zamieszczony w nrze VI. z d. 4. lutego br. p. t. „Walki na uniwersytetach". Wbrew rekursowi c. k. prokurator, w danym wypadku dr. Socha, znany działacz demokratyczno-narodowy, oświadczył, że podtrzymuje konfiskatę.

Zarzuty przeciw konfiskacie przedstawił wydawca pisma i jego zastępca prawny, dr. Aleksander Lisiewicz. Według wyroku, orzekającego konfiskatę, inkryminowane ustępy artykułu zawierają znamiona występków z §§ 300 i 305.

Pierwszy z nich mówi o „podawaniu w pogardę“ władzy państwowej, drugi o „podburzaniu“ do czynów karygodnych lub ich pochwalaniu. Co do drugiego występku, brak wszelkiej podstawy do konfiskaty, bo przecież nie są pochwalaniem ani podburzaniem słowa o „zajściach gwałtownych, ostrej i namiętnej walce“. A „podawanie w pogardę“? Czyżby było niem podanie ścisłe faktów, rozniesionych przez całą prasę? Stanowisko krytyczne względem postępowania senatu krakowskiego zajmowała przecież ogromna część pism polskich, które niejednokrotnie użyły ostrzejszych wyrażeń i nie uległy konfiskacie. Cały artykuł, pisany już po zajściach, nie był obliczony na bezpośrednie oddziałanie na przebieg wydarzeń; był on historycznem ujęciem dwóch momentów w dziejach naszych uniwersytetów; porównywał bezwzględność w postępowaniu senatu krakowskiego z taktem i rozwagą, okazaną przez senat lwowski, gdy szło o rzecz gorszą: o znieważenie znakomitego historyka ustroju Polski w sposób czynny. Autor artykułu uderzał na pewien odłam prasy, który wówczas, po obrzuceniu jajami namiestnika Bobrzyńskiego, nie znalazł słowa nagany dla ekscedentów, a na młodzież demonstrującą przeciw autorowi „Mojej Pani“ rzuca się, jak na zbrodniarzy, choć pobudką dla tej młodzieży była trwoga o niezależność i godność nauki polskiej. Słowa „ci panowie“, odnoszą się logicznie i gramatycznie właśnie do „Słowa Polskiego“ i tych, którzy zachwycali się łagodnością wyroku krakowskiego, nie zaś, jak to mylnie zrozumiała ck. prokuratorya, do senatów akademickich. Stąd konfiskata ostatniego ustępu jest wynikiem pomyłki, bo przecież odłam pewien dziennikarzy to nie władza państwowa. Mamy tu wogóle do czynienia z błędnem i w surowości swej niezwykłem stosowaniem przestarzałej ustawy prasowej; takie konfiskaty, prócz szkody materyalnej dla pisma, innego rezultatu nie przyniosą.

Prokurator nie replikował. Trybunał po naradzie... odrzucił rekurs i uznał konfiskatę za usprawiedliwioną. W motywacyi wyroku wstrzymano się od polemiki z zarzutami obrony — streszczono poprostu ustępy skonfiskowane, niekiedy w pełnem ich brzmieniu.

Sędziowie się śpieszyli. Prócz „prasówki“ trzy jakieś sprawy jeszcze naznaczone były na tą samą godzinę 9-ą...

„ŻYCIE“.. W RADZIE MIEJSKIEJ. Debata budżetowa, prowadzona w atmosferze rozgrzanej jeszcze przez walkę, stała się niezwykle, jak na Lwów i Radę miasta ożywioną, zajmującą, chwilami nawet gwałtowną. Mowcy Reformy nie omieszkali pociągnąć w pełnej Radzie panów ratusza do odpowiedzialności za 3000 leg. niedoręczonych, cały zaś „blok narodowy“ za kompanię oszczerczą, użytą za oręż wyborczy. Paradne to było, gdy r. Próchnicki z grupy dem.-nar. oświadczył, że za artykuły „Słowa Polskiego“ stronnictwo odpowiedzialności nie ponosi. Posypały się dobrze wymierzone żarty. „Najwygodniej złożyć wszystko na zecera“ — wołał r. Dwernicki. Na następnem posiedzeniu, wtorkowem, nowa bitwa. Otwiera debatę pełna powagi i siły mowa r. Laskownickiego. Dumnie rzuca mowca słowa potępienia na „nikczemną grę“, zmierzającą do „moralnego zabicia człowieka“ przez „odmawianie mu uczuć narodowych“ I oto mowca, jeden z bojkotowanych i ściganych przez teroryzm nierozumu i wstecznictwa, przechodzi do omawiania sprawy, wymagającej współdziałania wszystkich: sprawy analfabetyzmu, mizeryi naszego szkolnictwa, złych warunków życia i pracy nauczycieli... Zabrał głos r. Obmiński, przed trzema laty wybrany z ramienia Komitetu Reformy, ale od tego czasu „zjednany“ przez Strzelnicę i mianujący się „dzikim“. Dziki ów mąż jest jednak bardzo obłaskawiony w stosunku do — panów ratusza. Uznał też za potrzebne wystąpić w ich obronie przed napaściami Reformy. I oto stała się rzecz oryginalna: r. Obmiński wyjął z kieszeni zeszyt naszego pisma i czytał nabożnie artykuł dra Judyma „Na Ratuszu“, będący chłostą parafiańszczyzny i kołtuństwa. „Nie wiem — zapytywał mowca z gestem oratorskim — nie wiem, kogo autor miał na myśli, pisząc o kołtunach“. — „Pana miał na myśli!“ — woła r. Śliwiński, nasz wydawca — „niewątpliwie pana!“ Zaczyna się gromadna szermierka: ironiczne okrzyki krzyżują się, jak błyski rapierów. Zabiera głos r. Włodzimirski, wpadając z robionym, nieszczerym patosem deklamatorskim między lecące pociski. Podobnie, jak r. Obmiński odkrył rzecz straszną: że „Życie“ nie znosi kołtunów, tak znowu r. Włodzimirski okropną tajemnicę ma do obwieszczenia Radzie: ten orzeł, który na listach i odezwach Reformy czujnie, dumnie, z szponami wyostrzonemi na bój unosi się ponad Lwowem, to (słuchajcie!) nie jest żaden orzeł: to... czerwony sęp z paszczą otwartą na pożarcie miasta! Wśród wesołości, drwin i okrzyków wywody owe aptekarsko-zoologiczne zamknęły wtorkowe posiedzenie Rady.

Co do nas, zalecamy gorąco r. Obmińskiemu dalsze odczytywanie naszych artykułów na Radzie. Będą to stanowczo najlepsze z jego przemówień i przyczynią się może do oświecenia tych ojców miasta, o których zapomniał sobie Duch Święty...

SPRAWA LEŚNIKÓW LWOWSKICH pod zarzutem szpiegowstwa poaresztowanych na Wołyniu, przedstawia się coraz groźniej. Władze rosyjskie brną dalej w swym błędzie; z praktyki szkolnej i zdawanych szkole naukowych raportów robią dalej akcyę szpiegowską, w niezbadanym celu skoncentrowaną w Połonnem i lasach hr. Karwickiego; z wyższej szkoły lasowej robią centralne biuro szpiegowskie i kto wie, może cały korpus żandarmów w granicach gubernii wołyńskiej zrobić zamierza świetną karyerę, zbierać mannę orderów, nagród i awansów za to epokowe odkrycie. Niewątpliwie sztab austryacko-węgierskie nie zasypia tymczasem gruszek w popiele. Rzecz znamienna jednak, że koszta obustronnej podziemnej kampanii ponosić musi tymczasem — młodzież polska.

Aresztowanych przeprowadzono etapem do Kijowa; trwało to 2 tygodnie! Osadzono ich w osławionem więzieniu Łukjanówce, gdzie tyfus dziesiątkuje więźniów. Trzymani są na tych warunkach, co zwykli aresztanci; w więziennem odzieniu, z postrzyżonemi głowami. Władze odmawiają widzenia z nimi najbliższym krewnym: i tak nie pozwolono na widzenie się z mężem p. Łękawskiej, żonie uwięzionego nadleśniczego. Zwrócono jej również należące do jej męża przedmioty osobistego użytku, takie, jak grzebienie, szczotki itp. Jednem słowem szereg obywateli austryackich, ludzi niewinnych, posiadających dowody swej niewinności, stał się pastwą wyrafinowanego barbarzyństwa sąsiedzkiego — i nie słychać o energicznej interwencyi naszych posłów!

Co gorsza — aresztowania się mnożą.

Niebezpieczeństwo zdaje się zagrażać wszystkim uczniom wyższej szkoły lasowej lwowskiej, wyjeżdżającym za kordon.

Niema środka zbyt silnego, aby go użyć dla zapobieżenia tym gwałtom i tej obeldze, rzuconej w twarz społeczeństwu — i państwu.

ERRATA. W zeszycie XI., str. 162., wiersz 30 od góry, lewa szpalta, (artykuł W. Lisa „Uchwały Delegacyi) pozostawiono błąd zecerski w dacie 1874. zamiast **1864**. Oczywiście idzie o zachowanie się Austryi w drugim okresie powstania (stan oblężenia w Galicyi).

Na więźniów i zesłańców

złożyli w dalszym ciągu Z. Tarlińscy 10 K — R. Morawetz 5 K — Dr. Z. Sabatowa 5 K. — Poprzednio wykazanych 110 K; razem 130 koron.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru **40** hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.
Adres Redakcyi: Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.
Adres Administracyi: Dąbrowskiego 2, (parter na prawo). Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.
Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.
Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.